



Wiosenny spacer.

fot. archiwum

**Wolontariusz
w Wielkim
Kinie**

**Kiedyś było
tu solarium**

*czyli krótka historia
Teatru Bez Rzędów*

**Jak wkroczyć
w dorosłość?**

**W cieniu
sombreira**

**Ekologia
bez granic**

■ Autorem POD WIATR.pl jest młodzież: amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii.

■ POD WIATR.pl is created by young people: amateurs of the journalism, literature, fine arts and photography.

80 lat Polskiego Radia Pomorza i Kujaw

Polskie Radio na Pomorzu i Kujawach obchodziło w styczniu jubileusz 80-lecia służby publicznej. 15 stycznia 1935 roku po raz pierwszy popłynął w eter sygnał Rozgłośni Pomorskiej Polskiego Radia w Toruniu. Dwa lata później, 4 stycznia, rozpoczęło emisję swoich programów podstudio Rozgłośni Pomorskiej w Bydgoszczy. Po wojnie władze Polskiego Radia utworzyły Pomorską Dyрекcję Okręgową



z siedzibą w Bydgoszczy. 8 marca minie 70 lat od jej utworzenia, a 1 maja – od czasu uruchomienia pierwszego w historii miasta nadajnika radiowego. Uroczyste otwarcie rozgłośni bydgoskiej Polskiego Radia odbyło się 1 lipca 1945 roku.

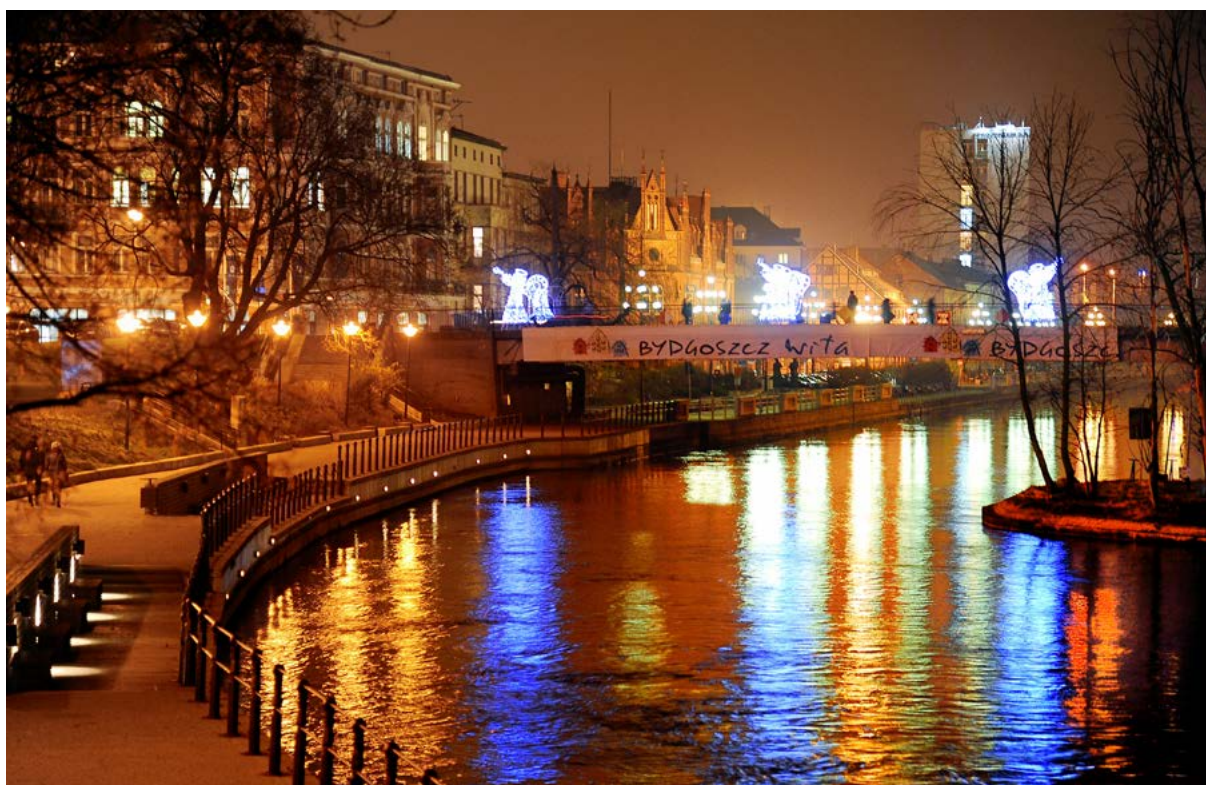
80 lat to długa droga, wiodąca nie tylko od miękkiej płyty do twardego dysku. To wczoraj i dziś niezwykle więzi kilku pokoleń twórców i słucha-

czy radia na Pomorzu i Kujawach, którzy przez dziesiątki lat znajdowali przyjemność bycia z sobą. Ucząc się siebie nawzajem, znajdując wspólne pasje, zainteresowania, poddając się przeżyciom artystycznym, triumfom i porażkom sportowym, radościom rozrywki. Starając się wspólnie zrozumieć społeczne zakręty i dramaty historii. Wypełnić przestrzeń w eterze jedynym w swoim rodzaju pragnieniem łączącym dziennikarza i słuchacza radia – aby na dobre i na złe być obok siebie.

Z okazji jubileuszu Zespołowi Rozgłośni Polskiego Radia Pomorza i Kujaw (Radia PiK) – kontynuatorowi historii i tradycji Rozgłośni Pomorskiej Polskiego Radia, życzymy wszystkiego co najlepsze, a słuchaczom Radia PiK – nieustannej satysfakcji i przyjemności.

Redakcja Pod Wiatr.pl

Więcej o Jubileacie: [www: radio-pik.pl](http://www.radio-pik.pl). w zakładce „80 lat z Wami”



Bydgoszcz nocą.

fol. Robert Sawicki

Z Pod Wiatr.pl przez świat

Od lutego 2012 roku, po osiemnastu latach wersji papierowej POD WIATR kontynuuje swoją historię w formie elektronicznej. PDF-y z czasopismem przekazywane są młodzieży i dorosłym czytelnikom pochodzenia polskiego za pośrednictwem instytucji, stowarzyszeń i organizacji polonijnych, polskich szkół za granicą, placówek dyplomatycznych, animatorów oświaty i kultury polskiej na świecie, osób prywatnych i duchownych do:

Albanii, Algierii, Angoli, Arabii Saudyjskiej, Argentyny, Armenii, Australii, Austrii, Azerbejdżanu, na Białoruś,

Boliwii, Bośni i Hercegowiny, Beninu, Brazylii, Bułgarii, Chile, Chin, Chorwacji, na Cypr, Czarnogóry, Czech, Danii, Dominikany, Egiptu, Estonii, Finlandii, Francji, Ghany, Gruzji, Grecji, Holandii, Indonezji, Irlandii, Islandii, Japonii, na Jamajkę, Kamerunu, Kanady, Kataru, Kazachstanu, Kenii, Kolumbii, Korei Południowej, Kostaryki, na Kubę, Kuwejt, Lichtensteinu, na Litwę, Luksemburga, na Łotwę, Macedonii, na Madagaskar, Malezji, na Malte, Maroka, na Mauritius, Meksyku, Mołdawii, Mongolii, Mozambiku, Niemiec, Norwegii, Nigerii, Nowej Zelandii, Panamy, Paragwaju, Peru, Portugalii, Rosji, Republiki Południowej Afryki, Rumunii, Serbii, Singapuru, na Słowację, Słowenii, Szkocji, Szwajcarii, Szwecji, Taszkientu, Tunezji, Turcji, Turkmenistanu, na Ukrainę, USA, Uzbekistanu, Wenezueli, na Węgry, Wielkiej Brytanii, Wietnamu, Włoch, Zimbabwe, Zjednoczonych Emiratów Arabskich.

POD WIATR.pl ma formułę otwartą: udostępnia łamy każdemu młodymu twórcy oferującemu czytelnikom swój talent. Jest pismem dla Ciebie! Redaguj je z nami!

Czekamy na Was. Czekamy na Wasze reportaże, felietony, recenzje, wiersze, opowiadania. Czekamy na rysunki, grafiki i zdjęcia. Czekamy na Wasze opinie i propozycje. **NAPISZ!** Będziesz z nami, a my z Tobą.

Nasz adres:

POD WIATR
85-099 Bydgoszcz 23
skrytka pocztowa 49

www.podwiatr.pl
e-mail: podwiatr93@wp.pl



■ **POD WIATR.pl** tworzy młodzież; amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii.

■ **POD WIATR.pl** es creada por los jóvenes: aficionados al periodismo, la literatura, las artes plásticas y la fotografía.

■ **POD WIATR.pl** est créé par les jeunes: des amateurs du journalisme, la littérature, les beaux-arts et la photographie.

■ **POD WIATR.pl** is created by young people: amateurs of the journalisme, literature, fine arts and photography.

■ **POD WIATR.pl** создает молодёж; любители журналистики, литературы, художного искусства и фотографии.

POD WIATR.pl

POD WIATR.pl www.podwiatr.pl społeczno-kulturalne czasopismo młodzieżowe.

Redagują: Anna i Mirosław Twaróg (red. naczelny). **Sekretarz redakcji:** Katarzyna Twaróg. **Redaktor graficzno-techniczny:** Anna Faleńczyk.

Adres korespondencyjny: POD WIATR 85-099 Bydgoszcz 23 skr. pocztowa 49. e-mail: podwiatr93@wp.pl. **Z redakcją współpracują:** Maria Babyszka i Agata Bełka-Świtkowska (Osiek n. Notecią), Marta Jagieło (Bydgoszcz), Danuta Buryta-Arndt i Maria Mitek (Łobzenica), Dorota Witt, Jagna Nawrocka i Julia Smoleń (Toruń), Paulina Młyńska (Poznań), Robert Sawicki (Bydgoszcz), Agnieszka i Żaneta Szlachcikowskie (Grudziądz). **Współpracownicy zagraniczni:** Zygmunt Kowalski (Argentyna), Dorota Mabsjaia (Mozambik), Jarosław Moczarski (Kanada), Gosia Putteeraj (Kanada, Mauritius), Monika Schneider (USA), Andrzej Szwarzak (Boliwia), Jolanta Villarreal (Panama), Wanda Seliwanowska i Jan Zembrzusi (Rosja), Justyna Zuń-Dalloul (Wenezuela). **Wydawca:** „Agencja Wydawniczo-Reklamowa MT” Mirosław Twaróg, 85-028 Bydgoszcz, ul. Żmudzka 5, tel.: +48 52 342 93 10. **Skład i łamanie:** Dom Wydawniczy MARGRAFSEN S.C., 85-808 Bydgoszcz, ul. Białogardzka 11A, tel.: +48 52 370 38 00, e-mail: biuro@margrafсен.pl <http://www.margrafсен.pl>
REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ ZAMIESZCZONYCH REKLAM. ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ADIUSTACJI, SKRACANIA TEKSTÓW I ZMIANY TYTUŁÓW.

„Nigdy nie oceniaj wysokości góry, dopóki nie osiągniesz jej szczytu. Wtedy zobaczysz, jaka była niewysoka”.

Dag Hammarskjöld

Kiedy piszę te słowa, zostało sto dni (teoretycznie) do najważniejszego egzaminu w życiu. Sto dni do pożegnania się z liceum. Sto do sprawdzenia dojrzałości wszystkich polskich maturzystów. Z drugiej strony, mnóstwo decyzji do podjęcia, szukania odpowiedzi na setki pytań i tysiące wątpliwości. Jak wkroczyć w dorosłość?

Skoro zostało tak mało czasu, my, maturzyści, powinniśmy już mniej więcej wiedzieć, jakie studia wybrać, czym zajmować się w przyszłości, w jakim mieście mieszkać. Sytuacja nie przedstawia się jednak tak kolorowo.

Można nas podzielić na kilka grup i nie wiadomo, której z nich jest trudniej. „Nie wiem, kim chcę być” – to chyba najczęściej spotykana grupa moich rówieśników. Mają swoje pasje, swoje zainteresowania, ale nie wiedzą, jaki kierunek wybrać, czym zajmować się w przyszłości. „Lubię oglądać filmy – mówi maturzystka Natalia – ale co z tego? Nikt mi nie zapłaci za oglądanie. Lubię czytać, ale nie piszę własnych tekstów... Na tym również nie zarobię”. Osoby z tej grupy nie widzą siebie „policealnego”. Bo co z tego, że to czas na stawianie się dorosłym, skoro nie wiedzą, JAKIM dorosłym chcą być?

„To przyszłościowy kierunek!” – twierdzą potencjalni studenci medycyny, informatyki, robotyki czy fizyki

stosowanej. To nic, że na widok krwi mdleją, a komputery i programowanie ich nudzi. Rynek pracy jest ciężki – rezonują – więc trzeba wybierać to, co się opłaca! Nie są tylko pewni, czy w tej pracy będą szczęśliwi.

„Mam pasje, mam marzenia, boję się egzaminów” – mówią przyszli aktorzy, wokaliści, muzycy czy architekci. „Mnie do egzaminów nie wystarczy tylko matura” – martwi się Agata, która marzy o Akademii Sztuk Pięknych. Kandydaci są sprawdzani przez dodatkowe komisje, „maglowani” i oglądani z każdej strony. Chętnych i utalentowanych jest mnóstwo, a miejsc niewiele. Młodzi nie rezygnują z marzeń, niemniej czas niebezpiecznie się skraca, a przygotowań jeszcze mnóstwo.

„To się nie opłaca” – twierdzą uczniowie myślący o filologii, dziennikarstwie, wiedzy o teatrze czy kulturoznawstwie. To kierunki, które, co prawda, rozwijają, pogłębiają wiedzę, są pasjonujące, uczy się ich z przyjemnością, ale... Maturzyści boją się je wybierać, bo ilu kulturoznawców czy krytyków literackich potrzebuje dzisiejszy rynek? „Czy nie rozsądniej byłoby wybrać prawo, a teatrem czy sztuką zajmować się... tylko tak dodatkowo?” – waha się Adam, który rozważa studiowanie

krytyki artystycznej. „Może jednak prawo? Prawnik brzmi prestiżowo...”

Decyzję podjąć trudno. Zwłaszcza gdy maturzysta w zaciszu osobistych rozmyślań snuje refleksję: „To decyzja, która wpłynie na całe moje życie!”

Znam to doskonale. Przyszedł i mój czas na podejmowanie decyzji. A tak naprawdę to wcielanie jej w życie, bo podjęłam ją już wcześniej. Chcę być aktorką, więc w czerwcu będę zdawała do szkoły teatralnej. Mam mnóstwo wątpliwości: czy nie lepiej byłoby skupić się teraz na maturze? A potem... może powinienam wybrać bardziej stabilny kierunek – prawo, albo zdawać biologię i być rehabilitantem? Co zrobię, jeśli się nie uda? Spróbuję raz jeszcze, pójdę do pracy, wybiorę inny kierunek, a może wyjadę za granicę?

Rozterki są na szczęście zagłuszone przez to, co czuję. Wiem, że aktorstwo to moje marzenie. Wiem, że chociaż będzie trudno – warto pró-

bować. Że jeśli tego nie zrobię, całe życie będę się zastanawiała: „Co by było, gdyby?”... Że najszcześniejsza jestem właśnie na scenie. Coraz bardziej utwierdzam się w przekonaniu, że wybierając kierunek studiów, myśląc o zawodowej przyszłości, powinienam przede wszystkim kierować się sercem. Nawet jeśli podsuwa mi irracjonalne (na pozór) rozwiązania, ono będzie ze mną całe życie i rzadko się myli. Czuję, że chcę grać... Że na scenie staję się inną osobą, że mogę wziąć marzenia we własne ręce i próbować. Kto wie? Może do skutku?

Na szczęście my, maturzyści, oprócz obowiązku napisania matury i podjęcia życiowych decyzji, mamy jeszcze prawa. Prawo do błędów, prawo do pomyłek, prawo do zmiany zdania. Wybrać kierunek i go potem zmienić. Mieszkać w wielu miastach. Studiować coś, co wydaje się w obliczu aktualnych trendów nieopłacalne, ale co rozwija, daje satysfakcję, szczęście. Mamy prawo do szukania i znalezienia przystani, która pozwoli nam zrozumieć siebie i innych. I z tego obopólnego zrozumienia wywieść wspólne dobro. A co do matury... Życie postawi nas przed trudniejszymi egzaminami!

Katarzyna Pilewska I. 18

Jak wkroczyć w dorosłość?

(nie)Możliwości

„Gdy wszyscy wiedzą, że coś jest niemożliwe, przychodzi ktoś, kto o tym nie wie, i on to robi”.

Albert Einstein

Coś jest niemożliwe, dopóki ktoś tego nie dokona. Tak w skrócie brzmi myśl genialnego naukowca, jakim był Albert Einstein. Idąc tokiem jego rozumowania, małe dziecko nie wie, co uznawane jest za realne, a co za nierealne, więc istnieje duże prawdopodobieństwo, że będzie próbować rzeczy, o których człowiek dorosły nawet by nie pomyślał. Ogranicza je jedynie wyobraźnia.

W naszym kraju często mówi się o tym, jak mało jest możliwości i jak trudno znaleźć pracę (szczególnie młodemu człowiekowi). Ale czy naprawdę tak jest? A może problem leży w zupełnie innej krainie. Jaka jest mentalność młodego człowieka, przybitego szkołą i natłokiem obowiązków. W niektórych przypadkach można mówić o egzystencji, a nie o życiu. Strach przed tym, co nieznaną, co nowe, paraliżuje i ogranicza. Życie wtedy porównać można do prostego chodnika, w którym co jakiś czas natrafić można na pęknięty fragment albo znak

drogowy. Wzloty i upadki. A może upadki i wzloty?

Dlaczego boimy się marzyć? Nie dlatego, że boimy się, iż nasze marzenia się nie spełnią. Raczej dlatego, że nie jesteśmy dość pewni siebie, by wierzyć, że starczy nam sił na ich realizację. Marzenia nie spadają z nieba jak gwiazdy. By ich dosięgnąć, trzeba zdobyć siekiere, mapę i latarkę. Udać się do lasu i ciężko pracując, zgromadzić materiały potrzebne do budowy drabiny. Potrzeba też towarzyszy, którzy przytrzymają drabinę, gdy będziemy się po niej wspinać. A co najważniejsze – potrzeba przyjaciół, którzy złapią nas, gdy z drabiny spadniemy i pomogą ponownie postawić na niej pierwsze kroki.

W XXI wieku świat zmienia się błyskawicznie. Mowa tu o wszystkich możliwych aspektach. Gospodarka, technologia, edukacja – wszystkie te elementy podlegają procesowi globalizacji. Rynek światowy jest niestabilny, ale otwarty dla ludzi z całego świata. Aby osiągnąć sukces, potrzeba pomysłu i siły do jego realizacji. Ze wszystkich możliwych inwestycji tylko jedna jest zawsze niezawodna i pewna. Biznes, który zaprocentuje w najmniej oczekiwanym momencie. Ten biznes to Ty.

Adrian Weber I. 19



fol. Anna Wajs (archiwum)

21 lat POD WIATR – wspomnienia podróżnicze

Uśpione tajemnice



Szkocja kojarzy się przede wszystkim ze spódnicami w kratkę, z najlepszą na świecie whisky i muzyką dudziarzy... Jednak największe piękno kryje się w przyrodzie. Pośród kwitnących wrzosowisk, krystalicznie czystych potoków i górskich jezior drzemią ich uśpione tajemnice.

Po południu przekraczamy symboliczną granicę między Anglią i Szkocją. Niewielki parking przy szosie, kawałek skały z napisem „Scotland” i dudziarz w spódnicy, wygrywający szkockie melodie. Fotografujemy się z nim i ruszamy w drogę, by jeszcze przed zmrokiem zdążyć na camping.

Pole namiotowe w okolicach miasteczka Abottsford. Właściciel prowadzi nas kamienistą ścieżką ukrytą wśród drzew. Mgła ściela się nad ziemią. Jest chłodno. Docieramy do miejsca, w którym możemy rozbić namioty. Jest mokro – przez ostatnie cztery dni bez przerwy padało. Wchodzę na trawę. Miętko. Właśnie na tym błocie przykrytym trawą, w ciemnościach rozstawiamy namioty.

Idę do łazienki na drugi koniec campingu. Zaczyna padać. Idę bosą, gdyż suche buty mogą się jutro przydać. Denerwuje mnie chłód i małe, gryzące muszki, o których wcześniej czytałam w przewodniku... Jeszcze nie wiem, że za kilka dni do ugryzień i deszczu się przyzwyczaję, a Szkocję poznam i pokocham.

TARTAN, PIBROCH I HAGGIS

Szkocja słynie z materiału w kratkę zwanego tartanem. Każdy klan posiadał swój własny wzór tartanu. MacGregorowie nosili czerwono-zieloną kratę, MacDonaldisowie zielono-białą, a Stewartowie biało-czerwono-żółtą... Znanych jest dwa tysiące zarejestrowanych tartanów, co oznacza tyle samo rodzajów szkockich krutek. Na jedną spódnicę (długość do kolan) potrzeba 8 jardów (7,3 metra) materiału. Tradycyjnie uszyta plisowana spódnica waży ok. 9 funtów (4 kilogramy).

Dudy (**bagpipe**), nieodłącznie kojarzone ze Szkocją, nie są jej wynalazkiem. Pochodzą z Azji, skąd przywędrowały w średniowieczu i rozprzestrzeniły się na terenie całej Europy. W XIII wieku powstały dudy szkockich górali, zwane **pibroch**. Odgrywały one ważną rolę w życiu klanów, towarzysząc im w wyprawach wojennych, weselnych zabawach czy uroczystościach żałobnych.

Tradycja gry na pibroch trwa do dziś. Dudziarze mogą popisać się swoimi umiejętnościami, grając nie tylko na festiwalach, ale także na ulicach takich miast jak Edynburg czy Glasgow. Mówiąc o szkockich tradycjach, nie można zapomnieć o kuchni... Tradycyjną potrawą jest tu **haggis**, czyli (uwaga!) owczy żołądek

nadziewany przyprawioną wątróbką, mąką owsianą i cebulą, zazwyczaj spożywany z puree z rzepy i ziemniaków... Oprócz haggisu, Szkoci specjalizują się w daniach z łososia.

Edynburg to stolica i wizytówka Szkocji. Zbudowany na kilku wygasłych wul-



kanach i skalnych zboczach, przyciąga niezwykłością. Szkocki pisarz, sir Walter Scott, mówił o Edynburgu: „moje romantyczne miasto”.

Nad Starym Miastem góruje zamek ozdobiony wieżami. Ze szczytu zamkowego wzgórza rozciąga się widok na zatokę Firth of Forth. Kamienna ścieżka wiedzie od zamku nad morze. Niebo jest błękitne, świeci słońce.

W przewodniku szukam informacji o muzeum powieściopisarza Stevensona. Proszę o pomoc starszego mężczyzny.

– Muzeum Stevensona? – pyta zdziwiony. – Nie ma takiego.

Dziękuję i odchodzę. Widocznie jakaś pomyłka w przewodniku.

– Czytałaś jego powieść? – słyszę głos i odwracam się.

– Jaką powieść?

– „Dr Jekyll i Mr Hyde”...

– Oglądałam film.

Mężczyzna uśmiecha się.

– Film był do niczego, a książka... Czytając ją, uwalniasz swoją wyobraźnię.

Sama tworzysz ten wyjątkowy świat lęku. Widzisz tę latarnię morską? – wskazuje obiekt przede mną. – Idź tam... wzdłuż brzegu. Tą drogą chodzili Dr Jekyll i Mr Hyde. Zapamiętaj z niej jak najwięcej, a potem przeczytaj książkę. Może wtedy coś zrozumiesz...

DZIKA SZKOCJA

Dzikiem i fascynujące wrzosowiska odkrywają swoje piękno z końcem lata. Wtedy wzgórza pokrywają się purpurowym dywanem kwitnących wrzosów. W roku 1952 część wrzosowisk objęto ochroną, tworząc park narodowy North York Moors. W parku wyznaczono kilka dróg, jednak największą atrakcją jest (legalne) wędrowanie „na dziko”.

Szkockie wzgórza są niczym wrzosowa sawanna. Drzewa spotyka się tu bardzo rzadko. Na obrzeżach parku narodowego pasą się owce – szkocka odmiana **black face**. Bez opieki snują się po wzgórzach, często przekraczając granice parku... Każda owca została naznaczona przez swojego gospodarza kolorową plamą z farby. Można spotkać stado owiec niebieskich, zielonych, pomarańczowych...

Powietrze jest wilgotne. Mimo chłodu, idę w krótkich spodenkach. Są wygodniejsze od długich... i mokrych. Krople wody z wrzosów osiadają na butach. Każdy

z grupy tworzy swoją własną ścieżkę. Idziemy na północ. Stawiam nogi na kępkach wrzosów, by nie wdepnąć w błoto. Robię jeden nieuważny krok i zapadam się. Bagno, w którym tkwię, jest, w porównaniu z powietrzem, ciepłe. Nie mam siły wypchnąć się z tego błota. Udaje mi się to z pomocą znajomych. W butach mam błoto, na nogach kawałki wrzosów. Wszędzie czuję zapach świeżej ziemi.

Podróżując po Szkocji, trudno nie zauważyć typowych dla tego obszaru kamiennych murków, tzw. **stone on stone**. Powstały one poprzez ułożenie kamienia na kamieniu. Murki oddzielają pastwiska różnych gospodarzy i stanowią idealną osłonę dla owiec przed wiatrem.

LOCH NESS

W północnej części Szkocji, w krainie zwanej Highlands, znajduje się jezioro Ness. Sam wygląd jeziora, położonego wśród gór Grampian, nie zdecydował o jego sławie. Gdyby nie legendarny potwór zamieszkujący (podobno) jego głębie, turyści przejeżdżaliby obok, nie odwracając nawet głowy. Latem mnóstwo podróżnych zatrzymuje się przy malowniczych ruinach zamku Urquhart położonego na skale nad jeziorem. Według opowiadań, to właśnie tu najczęściej widywano potwora.

Historia Nessie (przez poważnych badaczy zwanego **Nessiteras rhombopteryx**) zaczęła się już w VII wieku. Dowiadujemy się o nim z biografii św. Kolumby. W roku 673 kilku mnichów przemierzających Szkocję zostało zaatakowanych przez bestię z jeziora. W latach trzydziestych naszego stulecia wybudowano drogę wzdłuż brzegu Loch Ness. Chętniej przejeżdżali tu badacze żądni nowych odkryć, a także dziennikarze szukający sensacji. Przez wiele lat prowadzono badania dźwiękowe przy użyciu najnowszej technologii, jednak nie przynosiły one przekonujących dowodów. Mimo wszystko, trudno stwierdzić, czy istnienie Nessie jest czystą fantazją.

Zachodzące słońce kryje się za górami, po drugiej stronie jeziora. To moje ostatnie spojrzenie na Loch Ness, już jutro wracamy do Anglii. Wieczorny wiatr przepływa po tafli jeziora. Wpatruję się w jeden punkt na wodzie... Przecież nie wierzę w istnienie Nessie... To tylko chwila zamyślenia. Pożegnania ze Szkocją.

Małgorzata Seidel I. 16
POD WIATR nr 3/1999

Zdjęcia:

1, 3: Szkockie krajobrazy, fot. Katarzyna Czerwińska (archiwum)

2: Edynburg, fot. Szymon Kaczmarek (archiwum)





To my – wolontariusze Camerimage 2014.

Wolontariusz w Wielkim Kinie

Obok takich miast jak Cannes, Wenecja, gdzie odbywają się niezwykle festiwale filmowe, po raz kolejny stanęła Bydgoszcz. W listopadzie minionego roku w mieście nad Brdą odbył się dwudziesty drugi Międzynarodowy Festiwal Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych Camerimage 2014.

Festiwal ten jest sam w sobie wyjątkowy. Zazwyczaj oglądając filmy, skupiamy się tylko na aktorach, ewentualnie muzyce wykonanej od danego dzieła. A tak naprawdę gra aktorska jest tylko wisienką na torcie składającym się z bardzo ciężkiej pracy reżyserów, operatorów, scenografów, scenarzystów, kostiumologów. Ludzi, bez których film nie mógłby zaistnieć, jest naprawdę wielu. Opowiem o operatorach filmowych, gdyż to oni są głównymi bohaterami festiwalu filmowego Camerimage.

Jestem miłośniczką filmu. Często chodzę do kina, w skupieniu oglądam film i jestem po prostu zadowolona z tego, co widziałam. Dlatego zgłosiłam się jako wolontariusz na festiwal. Po krótkiej rozmowie kwalifikacyjnej, ku mojemu radosnemu zaskoczeniu, znalazłam się w Biurze Prasowym. Na kilka godzin przed inauguracyjną galą rozpoczęłam pracę.

Nie mogłam doczekać się, kiedy salę główną Opery Nova zapelnia koneserzy i twórcy sztuki filmowej. Poprzedzona projekcją filmu „Gra tajemnic”, w sobotę piętnastego listopada, ku mojej uciechu, odbyła się piękna gala inauguracyjna.

Jeszcze tego samego wieczoru przyznano pierwsze Złote Żaby. Nagrody otrzymali wybitni twórcy z całego świata. Wśród nich dokumentalistka o ponadprzeciętnej wrażliwości, Kim Longinotto, która – jak sama stwierdziła – nie spodziewała się, że impreza filmowców w mieście nad Brdą organizowana jest z tak wielkim rozmachem. Natomiast angielski reżyser i producent Stephen Daldry, który również otrzymał Złotą Żabę za swą dotychczasową twórczość, zwierzył się, że niejedno-



Bydgoszcz – Opera Nova z lotu ptaka.

krotnie pragnął przyjechać do Polski na to właśnie święto kina i wreszcie było mu to dane. Przyznano również wyjątkową Nagrodę im. Krzysztofa Kieślowskiego. Powędrowała do znanego aktora Alana Rickmana, który chętnie przyjął statuetkę i zadeklarował, że, gdy tylko na nią spojrzy, pomyśli o wyzwaniach podejmowanych przez Kieślowskiego w swoich dziełach, na przykład w „Krótkiej historii o zabijaniu”.

Podczas tygodnia festiwalu poznałam bardzo wielu twórców i zdecydowanie mogę stwierdzić jedno: oni nie mają dość i absolutnie nigdy nie dają za wygraną. Uważają, że wszystko można poprawić, nikt nie jest nieomylny, a co najważniejsze: zawsze dążą do tego, by zrobić coś lepiej, atrakcyjniej. Kolokwializując – fajnie. Jest to, moim zdaniem, ogromny plus bydgoskiego święta filmu.

Pierwszy dzień Camerimage był dobry, dlatego kolejny musiał być od niego

lepszy. Myślę, że wyjątkowym wydarzeniem tego dnia stała się projekcja długo wyczekiwanego debiutanckiego filmu „A little chaos” Alana Rickmana. Po seansie odbyła się konferencja prasowa z Rickmanem, aktorem i reżyserem. Po godzinie dziewiętnastej przed głównym wejściem do sali konferencyjnej, znajdując się na piętrze prasowym (czyli moim), zaczęła ustawiać się bardzo długa, niestraszna oczekującym, kolejka. Nie ukrywam, że kiedy koordynator Biura Prasowego poprosił mnie o wpuszczenie czekających do sali, przeraziłam się trochę. Każdy jednak zdobył jakieś miejsce i ostatecznie wszyscy byli zadowoleni. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Z sali padały rozmaite pytania. Alan Rickman mówiąc o planach na najbliższe miesiące, odpowiedział, że zamierza promować swój najnowszy film, a poza tym – dodał – zdecydowanie marzy mu się choć trochę wolnego czasu.

Podobno apetyt rośnie w miarę jedzenia. Głodni świetnych filmów kinomani na pewno zostali zaspokojeni w poniedziałek, kiedy pokazano genialne produkcje. W Operze Nova zagościły tak znakomite ekranizacje jak „Serce, serduszek” ze zdjęciami Piotra Lenara, film, w którym główną rolę gra mój ulubiony polski aktor Marcin Dorociński. Byłam wręcz wniebowzięta, kiedy usłyszałam, że odbędzie się z nim konferencja prasowa. Niestety, nie dane mi było na niej się znaleźć, albowiem najpierw czekała mnie praca, a dopiero później przyjemności. Pochłonięta obowiązkiem wolontariusza Biura Prasowego: przeglądaniem Internetu w poszukiwaniu informacji o Camerimage, zapomniałam o tym zdarzeniu.

Kolejnego dnia został wyświetlony film „Lewiatan”. Jego operator, Mikhail Krichman, jak się później okazało, zdobył Złotą Żabę w konkursie głównym. Podejrzałam, że właśnie ten operatorski majstersztyk otrzyma główną nagrodę, gdyż wszyscy po projekcji twierdzili zgodnie, że to najlepszy film, jaki kiedykolwiek widzieli. Nie chciałam im jednak wierzyć. I nadal mocno trzymałam kciuki za marokańskie dzieło „Desert Dancer”, opowiadające prawdziwą historię człowieka kochającego taniec. Niestety, ograniczona wolność w ojczystym kraju oraz konsekwencje, jakie wiązały się z tańcem, który uwielbiał i był w nim dobry, zmusiły go do ukrywania swojej pasji i zapomnienia o niej, co odczuł bardzo boleśnie. Od tamtej środowej projekcji zaczęłam doceniać to, gdzie mieszkam, to, że mam prawo głosu i prawo do bycia w pełni sobą. Bez zakładania masek, które podobają się tylko władzy.

Niestety, wszystko co miłe, szybko się kończy. Tak i festiwal filmowy Camerimage minął błyskawicznie. Po spędzeniu podczas festiwalowego tygodnia kilkudziesięciu godzin przed komputerem opadałam z sił. Wiem, że może brzmieć to co najmniej dziwnie, ale tak właśnie było. W piątek, na zakończenie wyjątkowego święta filmowców, pokazano film (jak określił przewodniczący jury w Konkursie Filmów Polskich) ku przestrodze, byśmy nie chcieli nigdy postępować tak, jak bohaterowie filmu „Hardkor Disko”. Jury, na przekór niektórym niezadowolonym widzom, okrzyknęło debiut młodego reżysera Krzysztofa Skoniecznego za najlepszy. I tak kolejna Złota Żaba powędrowała do Kacpra Fertacza – operatora tego dzieła.

Dwudziestego drugiego listopada odbyła się finałowa gala festiwalu. Została poprzedzona przedstawieniem teatralnym Andrzeja Strzeleckiego pt. „Film”: brali w nim udział młodzi aktorzy z warszawskiej Szkoły Filmowej. Podczas gali wręczono Złote Żaby oraz Złote Kijanki, składaniu podziękowań nie było końca. O godzinie dwudziestej pierwszej Marek Żydowicz, dyrektor Fundacji Tumult, która była organizatorem festiwalu, zaprosił na scenę wszystkich wolontariuszy Camerimage 2014. Wśród nich znalazłam się również ja.

Gdyby ktoś zapytał mnie o dzień albo chwilę, w której podczas trwania tego święta czułam się naprawdę wyjątkowo, bez wahania wskazałabym na tę właśnie godzinę: gdy szczęśliwa, mimo trudów wolontariatu, dotarłam do końca spotkania z Wielkim Kinem i razem z innymi wolontariuszami byłam oklaskiwana przez zgromadzonych głośnymi brawami. Ten, kto nigdy nie był na Camerimage, niech żałuje. Teraz pozostała w moim sercu dziwna pustka. Brakuje mi adrenaliny, tych niezwykłych spotkań, filmów, ludzi. Muszę czekać do następnego roku. Mam nadzieję, że ten czas minie bardzo szybko.

Marta Kamińska I. 17
fot. Robert Sawicki

Co by było?

Mówi się, że czasu nie da się cofnąć. A może nadszedł moment, aby właśnie dzisiaj przewrócić klepsydę życia? Zatrzymać się na chwilę i pomyśleć: co by było, gdyby wynaleziono wehikuł czasu otwierający dla nas nowe ścieżki możliwości? Czy potrafilibyśmy wykorzystać taką szansę? Moglibyśmy naprawić błędy, które są dla nas odwieczną udręką. Może obralibyśmy inną drogę?

Nasz wybór byłby odmienny od ostatecznego. Nie zraniłibyśmy bliskich nam osób, wybaczylibyśmy wyrządzone krzywdy. Zdążylibyśmy powiedzieć „kocham cię”, zanim byłoby za późno. Wzięlibyśmy jeszcze raz głęboki oddech i zamiast odwrócić się, poszlibyśmy za głosem serca.

Może tym razem wzięlibyśmy pod rękę starszą panią i odprowadzili ją do domu, aby być pewnymi, że nic się jej nie stanie. Być może dostając drugą szansę, odmienilibyśmy losy wszystkich ludzi, z którymi mieliśmy jakąkolwiek styczność. Moglibyśmy cofnąć się do czasów dzieciństwa. Jeszcze raz nacieszyć się beztróskim życiem, uśmiechami wysyłanymi w naszą stronę z delikatnym błyskiem w oku, sugerującym zapewne urzekający widok szczęśliwego dziecka.

Co by było, gdyby ludzie nie mieli z czego czerpać inspiracji? Pewnie nie powstałyby piękne dzieła sztuki, przenosząca do innych wymiarów muzyka, wiersze zawierające w sobie wskazówki do życia. Ludzie nie mieliby wyobraźni. Co się z tym wiąże? Zapewne to, że nie byłiby zdolni do tego, aby marzyć. To właśnie fantazja budzi w nas nadzieję na rzeczy nieosiągalne i sprawia, że wierzymy, iż damy radę im sprostać.

Co by było, gdybyśmy nie potrafili porozumieć się ze sobą? Czy życie byłoby łatwiejsze? Tak sądzi zapewne wiele osób, którym rozmowa

z bliźnim uprzykrza życie. Jednak wtedy nie byłoby sposobności do powiedzenia tego, co się w danym momencie czuje. Nie moglibyśmy przekazać komuś słów, które na pewno odegrałyby w jego życiu ważną rolę. Nie tylko gesty piszą scenariusze życia. Czasem jedno wypowiedziane zdanie może odwrócić cały bieg wydarzeń. Są chwile, kiedy lepiej byłoby ugryźć się w język, ale nie zawsze potrafimy to uczynić.

Co by było, gdybyśmy mieli możliwość rozmowy ze zmarłymi? Wielu z nas zapytałoby: jak jest w Niebie? Czy jego wygląd zbliżony jest choć trochę do Edenu? Chociaż nie znamy odpowiedzi, potrafimy tworzyć w naszej podświadomości obrazy, które mówią: TAM JEST PIĘKNIE.

Wyobraźmy sobie wieczór. Mały chłopiec kłęczący przy łóżku i w modlitwie rozmawiający ze swoją rodzicielką, która odeszła, gdy był niemowlakiem. Od tamtej pory tata tłumaczył mu, że jego mamusia jest z aniołkami i patrzy na niego z góry. Uśmiecha się, gdy jest z niego dumna, kiedy zaczyna być niegrzeczny, ogarnia ją smutek. Niektóre dzieci wyobrażają sobie tamten świat jako chmurki, a każda z nich jest przydzielona tylko jednej duszy. Kto wie, czyja wersja Nieba jest najbardziej zbliżona do prawdziwej. Jedni widzą obraz wąskich uliczek z przytulnymi domami, od których bije prostota i ciepło. Drózkami „płyną” duszyczki naszych bliskich: szczęśliwe istoty wymazujące z pamięci niepowodzenia, które przytrafiły się w życiu ziemskim. Pan Bóg nie daje im żadnych zakazów, bo TAM są tylko przestrzegający ich wcześniej. My tęsknimy, ale tak naprawdę oni są wśród nas, tuż obok. Jednak przekonamy się o tym dopiero wtedy, gdy będziemy po ich stronie.



foto. Robert Sawicki

Wszystko prowadzi do wiary, która jest naszą nadzieją, zagadką. Chcemy ją rozwikłać, ale – z drugiej strony – wcale nie to jest naszym życiowym celem. Wiara jest fundamentem wstępu do Nieba...

Tak naprawdę „co by było, gdyby?” niczego nie zmienia. Często wnosi do naszego umysłu tylko refleksję, że mogło być lepiej. Mimo wszystko wciąż poszukujemy prawdy, właściwej ścieżki. Jesteśmy archeologami własnego życia.

Paulina Rutyna I. 15

Ciesz się małym szczęściem



rys. Marta Jagiello (archiwum)

Zamknij oczy. Policz do dziesięciu. Z uśmiechem na ustach powitaj nowy dzień. Phil Bosmans – flamandzki pisarz, kapłan katolicki, autor wielu poczytnych wierszy i aforyzmów mawiał: nie trzeba być zaraz super-optimistą, ale dla tego, kto widzi wszystko w ciemnych barwach, słońce zachodzi już o poranku.

Budzik nie zadzwonił na czas, poplamiała ulubioną bluzkę kawa, a na autobus oczywiście nie zdążyłaś. Naturalnie większość osób traci humor i chęci na dalszą część dnia. I tu jest podstawowy błąd każdego z nas! Nie wszystko jest takim, jakim się wydaje. Może rzeczywiście dzień rozpoczął się pechowo, ale czy to znaczy, że mamy psuć humor innym i zniechęcać ich do siebie? Czy nie lepiej uśmiechnąć się, opowiedzieć przyjacielom o feralnym poranku i śmiać się z samego siebie? Przecież nigdy nie wiadomo, co na nas czeka tuż za rogiem, prawda? Do wszystkiego trzeba mieć podejście oraz dystans, bo pozytywne myślenie to już połowa sukcesu.

Wydaje mi się, że niektórzy z nas są leniwi, podejrzliwi, wiecznie niezadowoleni, nie dostrzegają rzeczy ważnych i ważniejszych. Życie to dla nich szara codzienność, monotonia, zbieg przypadków lub niefortunnnych wydarzeń. Zaślepieni pieniędzmi, karierą i sobą nie widzą czasu, który przecieka im przez palce. A przecież w pozornie nudnym świecie jest tyle pięknych rzeczy. Tylko trzeba nauczyć się je dostrzegać. **Sztuka życia – to cieszyć się małym szczęściem.** Phil Bosmans je widział, sprawiały one, że jego życie było bardziej wartościowe. Tak może być z każdym z nas! Zatrzymaj się na chwilę, oddaj refleksji. Czas umyka szybko, wykorzystaj go tak, abyś nigdy nie żałował! Kolekcjonuj wspomnienia, łap chwile pełnymi garściami i nigdy, nigdy nie pozwól, by strach przed działaniem pokonał Twoje pozytywne podejście. Traktuj każdy dzień, jakby był Twoim ostatnim, bo istnieć nie znaczy żyć.

Magda Jaszewska I. 17

Kiedyś było tu solarium

czyli krótka historia Teatru Bez Rzędów

Przy porannej kawie atakuje mnie uczucie bezsensu. Kawie towarzyszą myśli na temat mojej życiowej pasji, sztuki. Podobno ponad 60 procent Polaków przyznaje, że w ciągu roku nie przeczytało ani jednej książki. Prasa zanika na rzecz internetowych portali, więc może dla przyszłych pokoleń obcy będzie szelest przewracanych stron gazety. Kina niszowe, reprezentujące wysoki poziom filmowy, jak sama nazwa wskazuje, interesują tylko wąską grupę osób. Na muzycznych listach przebojów prym wiodą huczące remiksy, przy których co prawda dobrze się skacze, jednak z muzyką wiele wspólnego nie mają. Nie chcę atakować pesymizmem, nie chcę tęsknić do „tamtych czasów”, mając jedynie osiemnaście lat, ale nie ukrywam, że poranek przy kawie obfitował w szczególnie czarne myśli. Co się stanie, jeśli sztuka przestaje mieć jakiegokolwiek znaczenie dla społeczeństwa? Czy naprawdę wystarczy nam jedynie szara rzeczywistość? Gdzie nowy Proust, żywy Hendrix?

Myślą jestem w czasach, które znam tylko z filmów, grają tam płyty winylowe, artyści w ekstazie tańczą w rytm jazzu. W rzeczywistości siedzę w samochodzie, obserwuję szarość autostrady i zapisam zły humor mleczną kawą. Zamierzam poszukać nadziei w Krakowie, do którego właśnie zmierzam.

Wieczór jest porą poszukiwania wrażeń, a z racji tego, że dookoła zima, długi spacer bądź piknik pod gwiazdami z pewnością skutkowałyby przeziębieniem. Dlatego szukamy satysfakcji w innym miejscu. Chcemy pójść do teatru. Do tego niezwykłego miejsca, gdzie drobinki kurzu mieniące się w blady światło czy skrzypiąca podłoga nabierają nowego, szczególnego znaczenia. Wyjście do teatru łączy się z pewnym rytuałem. Z pomalowanymi paznokciami, elegancką torebką, mgiełką perfum. Teatr to nie sztuka, lecz Sztuka. Jednak tu pojawia się problem, bo gdzie iść i na co. Pamiętam wiele szczególnych dla mnie spektakli, jednak wspominam i podobną liczbę tych zwyczajnie słabych. Zbyt wulgarnych, przeciągających się, zdecydowanie przesadzonych. To sztuki, gdzie prowokacja przestaje mieć smak lub patos przekracza normę. Z garścią obaw decyduję się na zaskakujący nazwą **Teatr Bez Rzędów** i wystawianą w nim sztukę „Przez mgłę”.

Z czym jeszcze kojarzy się teatr? Zazwyczaj z imponującym budynkiem. Takim, który staje się nawet zabytkiem, jest dziełem sztuki sam



w sobie. Teatr to miejsce oczywiście widoczne, z afiszami, plakatami, stojem taksówek i parkingiem obok. Moje zdziwienie rośnie tym bardziej, ponieważ Teatr Bez Rzędów znajduje się za zamkniętymi drzwiami starej kamienicy na ulicy Krakowskiej. Informację, o tym, że tutaj mieści się poszukiwane przeze mnie miejsce, wskazuje prosta, skromna tabliczka. Do teatru trzeba zadzwonić domofonem. Ciemny korytarz, który niczym nie przypomina typowych wejść do teatru, klimatem zbliżony jest raczej do schematycznych horrorów.

Wchodzimy do małego pomieszczenia o ciemnozielonych ścianach przyozdobionych kilkoma plakatami. To pomieszczenie łamie wszelkie stereotypy związane z teatrem. Przypomina bardziej kameralną knajpkę lub mieszkanie jakiegoś ekscentrycznego artysty. Wysoki mężczyzna wydaje mi wcześniej zarezerwowane bilety (po co w ogóle była mi rezerwacja, zastanawiam się, widząc, że widownia na spektaklu będzie liczyła prawdopodobnie dwie osoby). Z ludzkim przyzwyczajeniem do schematów w tej obcej, tak niecodziennej sytuacji czuję się niepewnie.

Zagaduje mnie młody mężczyzna, aktor Teatru Bez Rzędów, Grzegorz Eckert, który przybliżył mi historię miejsca, w którym się znalazłam. Tutaj aktorzy grający na co dzień w innych teatrach tworzą coś własnego. Dla mnie to taka scena z żywą i niezwykle szczerą pasją. Reżyserem większości spektakli jest Lech Walicki. Podczas opowieści aktora reżyser swobodnie przecho-

dzi przez pokój, machając do nas ręką. Tu nie ma miejsca na manierę, sztampowość ani jakkolwiek artystyczną pozę. Odkrywam szczerą, szczególnie kiedy widzę prawdziwe zaangażowanie mojego rozmówcy w swoją pracę.

– Kiedyś było tu solarium – opowiada – wcześniej restauracja żydowska, a jeszcze dawniej, podobno, skład wina.

Zaczynam czuć się swobodniej, co więcej – nabieram przekonania, że znajduję się w miejscu niezwykłym.

– Te dwa spektakle – wskazuje na plakaty – wystawiamy w środku lasu na Podkarpaciu. Czasem przychodzi pięć osób, czasem dwadzieścia. Rzadko są to miejscowi, częściej mieszkańcy pobliskiego Rzeszowa, ale niezależnie od tego, kto przychodzi, zaskoczenie jest podobne. To niesamowite uczucie grać w środku lasu. Myślę, że zarówno dla nas, aktorów, jak i widzów.

Z zaciekawieniem pytam o zainteresowanie wśród mieszkańców Krakowa.

– Na premierach sala jest pełniona, ale czasami przychodzi jedna, dwie osoby. My jesteśmy wdzięczni, że są jacyś szaleńcy, którzy chcą tutaj w ogóle przyjść. Często zachęcamy, żeby potem zostali z nami i porozmawiali o sztuce.

W końcu, z kilkunastominutowym spóźnieniem, zostajemy zaproszone na spektakl. Przed nami dwóch aktorów: Łukasz Pracki oraz wspomniany przeze mnie reżyser, Lech Walicki. Na sali, która wielkością przypomina moją kuchnię, zapada ciemność ...

Centralnym miejscem przedstawienia jest wanna. Aktorzy nie wiedzą, skąd znaleźli się w tym dziwnym miejscu. Wszystko spowija tytułowa mgła, przetrzeń jest jedynie naszkicowana. To jakby urzeczywistnienie kafkowskich powieści. Co ciekawe, aktorzy są skrajnie różnymi postaciami. Prezentują dwie charakterystyczne osobowości z dwoma konkretnymi punktami widzenia. Przez wykreowaną rozmowę widz ma styczność z różnymi koncepcjami wolności. „Przez mgłę” to godzinna dyskusja na temat wolności człowieka oraz ludzkich ograniczeń i lęków. O tym kłopotliwym milczeniu, kiedy nie do końca wiemy, co odpowiedzieć, ponieważ owej odpowiedzi do końca nie znamy. Aktorzy prezentują niewymuszoną, naturalną grę aktorską. Scenografia jest prosta, ale w swej prostocie trafna. Z kolei kameralność sali nadaje sztuce szczególnie klimat. Żadnej sztucznej prowokacji, żadnego „artyzmu”. Atmosfera jest tym bardziej niezwykła, że cały spektakl grany jest jedynie dla dwóch osób.

Kiedy sztuka odbywa się przed dwoma parami oczu, tworzy się pewna intymność, w treść wchodzi się głębiej, ciemność przenika bardziej. To szczególna sytuacja, ponieważ aktorzy są tu na wyciągnięcie ręki. Sztuki można niejako dotknąć, a nawet jest się w pewnym sensie jej częścią. Tutaj artysta nie oznacza osoby niedostępnej dla reszty świata, podnoszącej wysoko głowę i z pewną dozą próżności opowiadającej o swoim najnowszym dziele. Mam wrażenie, że tutaj artystą mógłby być każdy. Każdy, kto ma pomysł, energię, pasję i, przede wszystkim, serce. Właśnie to dostrzegłam w oczach twórców Teatru Bez Rzędów.

Wychodzę z teatru przyjemnie nasycona i w lepszym nastroju. Z odbudowanym poczuciem sensu. Bo oni gdzieś tam jednak są. Są ludzie, młodzi ludzie, którzy robią to, co kochają. Nie dla rozgłosu, nie dla pieniędzy. To ludzie, którzy napędzają do działania. Im się coś udaje. Oni coś tworzą. Właśnie tego, moim zdaniem, brakuje nam na świecie. Działania, parcia do przodu, ulegania zachwytom. Zamiast bierności, popadania w marazm i budowania nudnej rzeczywistości, można zrobić tyle niezwykłych rzeczy, jakoś ukształtować ten świat, ubarwić. Otworzyć się na piękno, na sztukę, zrozumieć, jak konieczna jest w zadytmionej codzienności.



Przeczytajcie chociaż jedną książkę. Obejrzyjcie film Felliniego. Włączcie fugę Bacha. Warto się przekonać, że świat ma szersze, niż geograficzne, granice. Jeśli macie wątpliwości, zapraszam na ulicę Krakowską do Teatru Bez Rzędów. Jakoś trzeba zacząć przygodę z prawdziwą sztuką.

Julia Smoleń I. 18

...literatury, sztuk plastycznych i fotografii

Witryna Literacka rozpoczęła 21. rok inspiracji i prezentacji podwiatrowych twórców. W historii czasopisma czas miniony był czasem pięknym i owocnym dla młodych autorów, dla których poezja i proza stanowiły istotny element życia. Od dzisiejszego wydania okno Witryny otwieramy szerzej. Pragniemy akcentować z jednakową uwagą wszystkie elementy artystycznej prezentacji: literaturę, sztuki plastyczne i fotografię. Zapraszamy do Witryny tych spośród Was, którzy w pokładach swojej młodej wyobraźni szukają inspiracji nie tylko dla słów. Szukają jej i znajdują w obfitej paletce barw, konturów, kresek, linii, światłocieni. Nie chowajcie talentu w szufladzie. Podzielcie się nim z nami.

Piszesz poezję, prozę, malujesz pejzaże, rysujesz formy, twarze, czarno-białe szkice codziennej rzeczywistości, fotografujesz życie uchwycone na gorąco albo zastygłe w pięknie?

Podziel się swoim talentem z czytelnikami POD WIATR.pl

Wyślij do nas prace pod adres: podwiatr93@wp.pl



Nasze cudowne lata.

wyk. Agata Kwiecień I. 20

Ogród nadziei

Jestem dziewczynką i jak każda dziewczynka lubię książki, które mają dobry przekaz oraz potrafią wprowadzić czytelnika we wspaniały świat przygód i niespodzianek losu. Właśnie taką książką jest „**Tajemniczy ogród**” – moja ulubiona lektura szkolna.

Dlaczego wybrałam akurat tę lekturę? Otóż „Tajemniczy ogród” nie zawiedzie czytelników znających twórczość pisarki **Frances Hodgson Burnett** i nie rozczaruje tych, którzy sięgają po nią pierwszy raz. Historia głównej bohaterki, czyli Mary Lennox, to piękna, wzruszająca opowieść o rozpieszczonej, kapryśnej i samolubnej dziewczynce. Wychowywana w Indiach, niezauważana przez rodziców, była bardzo nieszczęśliwym dzieckiem. Po ich śmierci trafia do znajdującego się w Anglii domu nieznanego jej dotąd wuja, Archibalda Cravena. W jego ogromnym dworze Mary będzie musiała nauczyć się nie tylko samodzielności, ale także szacunku do innych ludzi.

Ponury i smutny dom wuja kryje w sobie wiele tajemnic, które Mary stopniowo odkrywa. Odnajduje furtkę do tajemniczego, opuszczonego i zapomnianego od wielu lat ogrodu. Zyskuje przyjaźń Dicka – brata służącej Marthy, oraz poznaje swojego kuzyna Colina, chorowitego syna pana Cravena, równie nieszczęśliwego i samotnego jak ona. Tytułowy ogród odmienia losy bohaterów: Mary przemienia się w pełną życia, szczęśliwą dziewczynkę, Colin zaczyna wierzyć, że wyzdrowieje

i będzie żył, pan Craven zaś rozbudza w swoim sercu miłość do syna, którego od wielu lat obwiniał o śmierć żony.

„Tajemniczy ogród” to opowieść o wyjątkowym znaczeniu przyjaźni i miłości w życiu każdego dziecka oraz o znaczeniu bycia blisko kogoś, kto wysłucha i pomoże w potrzebie. Rozkwitający wiosną ogród, który pomimo zapomnienia przetrwał dzięki staraniom starego ogrodnika, stanowi dla dzieci miejsce, w którym mogą być sobą i zapomnieć o troskach codziennego życia. Na ich oczach bowiem, w spektakularny sposób, pozbawiony zainteresowania i troski ogród odradza się. Zaczyna tętnić życiem, przybawają do niego różnorodne oraz piękne ptaki, a kolory wesoło zaczynają mienić się w słońcu. Colin każdego dnia staje się silniejszy, a ponieważ do tej pory wiele lat leżał w łóżku, zaczyna naukę chodzenia. Odzyskuje także wiarę, że pewnego dnia będzie takim samym chłopcem jak Dick.

Opowieść ta adresowana jest do każdego. Starszego czytelnika wprowadza w zapomniany i wesoły świat dzieciństwa, a młodszego, jak mnie, utwierdza w przekonaniu, że dobro zwycięża nawet najokrutniejsze zło. Zawsze trzeba wierzyć, że będzie dobrze, bo wiara to wielka siła. Polecam tę książkę każdemu, kto lubi przekraczać granice fantazji. Przypomina ona także, że nie należy narzekać na rodziców. Cieszymy się, że są przy nas. Czyż nie byłoby nam pusto i smutno bez nich?

Laura Kurczewska I. 12

Bohdana Lawrynczuk I. 18 (Ukraina)

* * *

Za oknem krzyczy burza i pada zimny deszcz
Zmęczeni idą ludzie, na twarzach rozpacz, dreszcz
Zrywa czapeczki wiatr i dmucha prosto w twarz
Zabrał nadziei ostatki i mówi: już jej nie masz.

Pod niebem ciemnoszarym szukamy płomień dnia
Lecz wiemy, że nie mamy nadziei dla ciepła
Tak zimno stało się w sercu i okropnie na duszy
Zmieniły się już drogi, a z oczu już płyną łzy

A może to nie prawda, lecz jakiś dziwny sen
A może to jest bajka, i dużo różnych scen
I znikną wszystkie kłamstwa, nie będzie więcej zła
I cały świat utonie w uśmiechach ciepłych dnia.

Aleksandra Gizińska I. 17

Konfabulacja

Jak możesz tak łąć beczelnie
W fikcję przeistaczać fakty
Kiedy obydwójce znamy
Wypaczoną prawdę niewygodną
Jak możesz wyolbrzymiać rzeczywistość
Przypisując jej nacechowane negatywem treści
Kiedy marna twa korzyść i marna ma wygrana
W działaniach dla siebie zdobywana
Jak możesz manipulacją pozyskiwać
Tych co słuszości poszukują
I nie poddają wątpliwościom słów kłamliwych
Wierząc w ich pozbawiony sensu sens
Jak możesz zdradzać kochających i oszukiwać broniących
Drwiąc z porządku zapieczętowanego historii biegiem
Jak możesz

Patrycja Szopiera I. 20

Człowiek o dwóch twarzach

Znam Cię?
Przenikliwym spojrzeniem
Jak błyskawica
Prześwietlam Twoją źrenicę

Widzę
Trochę tęczy
Przed ciałem szklistym
Za szybą – plamka ślepa

Znam Cię?
Czerwone usta
O smaku wspomnień
Z kącikiem uniesionym ku górze

Zbudowane z posklejanych
Fragmentów prawd
W jedną całość
Całą zakłamaną

Znam Cię?
Twarz poorana brudami
Popękana
Od nieszczerych uśmiechów

Tyle wyrazów twarzy
Bez wyrazu
Mimika mima
Co nie ma nic do powiedzenia

Znam Cię?
Dwie twarze
Kilka uśmiechów
W krzywym zwierciadle

Pierwsza – na dzień,
Gdy wszyscy widzą
Mówi – Jestem szczęśliwa
Jestem

Druga – na noc
Schowana pod poduszką
Nie mówi nic
Płacze

Znam Cię?
Tęcza znika
Pozostają wspomnienia
I jasne smugi
Na policzku

Myślisz

Myślisz
Niczego mi nie brakuje
Uśmiech na twarzy

Myślisz
Niczego mi nie brakuje
Nie
Brak mi
Człowieka

Witryna... z antologii wspomnień

Śmierć nieśmiertelna, czyli *List do Pozostałych*

Bo nie ma języka, w którym można by wyrazić całość istoty ludzkiej i nie ma języka, którym można by opowiedzieć o Stachurze.

Barbara Gładych, „Odkłamany człowiek”

Edward Jerzy Stachura. Właściwie Jerzy Edward Stachura¹. Urodzony we Francji 18 sierpnia 1937 roku. Kim był? Przede wszystkim człowiekiem. Człowiekiem odosobnionym, stojącym na uboczu, nieakceptującym reguł gry i w żaden sposób niemieszczącym się w schemacie rzeczywistości. Był także poetą, czego (w przypadku Stachury) nie powinno się oddzielać. Tego się po prostu nie da zrobić. **List do Pozostałych** w oderwaniu od autora, od dramatycznych okoliczności, w jakich powstał, od choroby, od wszystkich zmagania ze światem, a przede wszystkim ze śmiercią, staje się zwykłym wierszem. Wierszykiem „na do widzenia”, zbiorowiskiem dziwnych, niezwiązanych ze sobą i nic nieznaczących słów. Nie *znając Kropki nad ypsilonem, Opadły mgły, wstaje nowy dzień, Jak (cudne manowce), Pogodzić się ze światem* itd. Nie można zrozumieć, nie można nawet próbować zrozumieć tego wiersza. Nie jesteśmy w stanie bowiem postawić wyraźnej granicy między człowieczeństwem Steda a jego twórczością. *Wszystko jest poezją, każdy jest poetą* – pisał we **Wszystko jest poezja**.

Poezja jest więc wszystkim, jest sposobem bycia. Pisanie wierszy to tylko część poezji. Pismo, to widoczne na papierze, jest zaledwie sztyrem jakiegoś innego, prawdziwego pisma. „(...) Zatem pisanie Stachury jest poezją, jest nie-literaturą, to bycie”². Żył pisaniem, opisywał to, czym był i był tym, co opisywał³. Bez swojej poezji, prozy, bez swoich bohaterów nie mógłby żyć na tym świecie. Szerucki, Pradera, Michał Kątny, Się, Człowiek-NIKT – to wszystko spersonifikowane pragnienia Steda, wyniki jego nieustannego badania siebie, odkrywania wnętrza i zewnątrz, dążenia do doskonałości, do wiedzy absolutnej, która w ostatecznym kształcie okazała się nie do zniesienia dla człowieka o takim stopniu wrażliwości. Pisząc o doznaniach kreowanych bohaterów czy też pozornie błahych

zdarzeniach, Stachura ciągle pisze o dramatycznym zmaganiu się z czasem, z przemijaniem, a w końcu także ze śmiercią.

Twórczość Stachury można podzielić na trzy okresy. Pierwszy: **Opowiadania, Siekierzada** i **Cała jaskrawość** oraz niektóre piosenki, to przeciwstawianie się szarej rzeczywistości, schematowi dnia codziennego, w którym człowiek gubi się i znika. Próba przeciwstawiania się śmierci, poznawania wroga. W tym czasie dwudziestokilkuletni poeta żyje tak, jakby każdy dzień był ostatnim (i tak będzie już do końca jego życiopisania). Kolejny okres dający się wyróżnić to pełne olśnienia i uniesień: **Oto, Wszystko jest poezja** oraz późniejsze **Się i Fabula rasa**, będące obrazem rozbitcia osobowości, rozterek egzystencjalnych. Wreszcie trzeci, ostatni okres twórczości: **Pogodzić się ze światem** – swoisty dziennik będący wyrazem rezygnacji i poddaniem się wyczerpanej psychiki oraz **List do Pozostałych** – pożegnanie, czy raczej rozliczenie się, ze światem, często przez badaczy nazywany testamentem.

Sted całe życie walczył z samym sobą, ze swoim dzieciństwem, ze snem i przede wszystkim ze śmiercią. Był to jednak trud Syzyfa. Dzieciństwo bowiem, choć stanowi kwintesencję życia pozbawionego świadomości samego siebie – jest. Jest pewnym etapem życia każdego człowieka, którego nie można obejść. W tej walce schodziło więc na dalszy plan, ograniczało się do kilku wspomnień, a właściwie do chęci pozbycia się, zatarcia w pamięci tych kilku wspomnień. Inaczej było jednak ze snem, który przecież można pokonać, z czym Stachura świetnie sobie dawał radę. Do czasu... PARAFRENIA. Zespół urojeniowo-omamowy. Skutek zbyt intensywnego życia, zbyt silnego odczuwania emocji, zbyt wielu napięć i przede wszystkim zbyt małej ilości snu. W rozu-

mowaniu poety sen jest przeciwnikiem człowieka, jego świadomości i myślenia, jest jakby początkowym etapem śmierci – kolejnego wroga. Śmierć jest wrogiem najgroźniejszym. Stanowi ona ostre i bolesne zaprzeczenie wszystkich najistotniejszych ludzkich nadziei. Jest jakimś czarnym znakiem negacji położonym na losie człowieczym⁴. Bariery, które nie można przejść.

Motyw śmierci nieprzerwanie przewija się w twórczości Edwarda Stachury. Lęk przed nią jest bowiem największym, w zasadzie podstawowym lękiem każdego wrażliwego człowieka. Śmierć w pojęciu biologicznym oznacza bowiem utratę duszy, utratę „ja” (ego). Poeta całe życie dążył do zrozumienia, przewyciężenia śmierci i właśnie ta niezwykle intensywna jej świadomość zadecydowała o kształcie jego życia. Aby przewyciężyć śmierć, musiał uciec od schematów, od codzienności, od przeciętności, wyzbyć się wszystkiego, co mogłoby fałszować obraz istniejącego świata. Chociaż mówił, że życie jego to wieczna partyzantka, chociaż czuł to balansowanie na krawędzi koła – zawsze udawało się Stachurze uwierzyć w siebie, w życie, w swój „los niezłomny”. Zwyciężała odwaga istnienia⁵. Niestety, nie zawsze... Ileż to razy myślał, chciał popełnić samobójstwo w obronie własnej. Traktował to jak ucieczkę, swoisty sposób obrony przed atakiem schematu rzeczywistości i bezsensu. Kiedy czuł, że się wypalił bez reszty, kiedy myślał, że to jest właśnie ten moment, okazywało się, że jest jeszcze tyle do napisania. Pisane mu było zapisywanie siebie do końca. Jeszcze mając w sobie ostatnią kroplę krwi, pisał listy do tych, co pozostają⁶.

W pokoju zmarłego, na stole (obok przewróconej szklanki i śladów rozlanej herbaty) leżał rękopis wiersza zaczynającego się od słowa **Umieram...**

ciąg dalszy na str. 10.

ciąg dalszy ze str. 9.

List do Pozostałych

Umieram

za winy moje i niewinność moją
za brak, który czuję każdą cząstką ciała i każdą cząstką duszy,
za brak rozdzierający mnie na strzępy jak gazetę zapisaną hałaśliwymi
nic nie mówiącymi słowami
za możliwość zjednoczenia się z Bezimiennym, z Pozasłownym, Nieznanym
za nowy dzień
za cudne manowce
za widok nad widoki
za zjawę realną
za kropkę nad ypsylonem
za tajemnicę śmierci w lęku, grozie i pocie czoła
za zagubione oczywistości
za zagubione klucze rozumienia z malutką iskierką ufności, że jeżeli ziarno obumrze,
to wyda owoc

za samotność umierania
bo trupem jest wszelkie ciało
bo ciężko, strasznie i nie do zniesienia
za możliwość przemienienia
za nieszczęście ludzi i moje własne, które dźwigam na sobie i w sobie
bo to wszystko wygląda, że snem jest tylko, koszmarem
bo to wszystko wygląda, że nieprawdą jest
bo to wszystko wygląda, że absurdem jest
bo wszystko tu niszczeje, gnije i nie masz tu nic trwałego poza tęsknotą za trwałością
bo już nie jestem z tego świata i może nigdy z niego nie byłem
bo wygląda, że nie ma tu dla mnie żadnego ratunku
bo już nie potrafię kochać ziemską miłością
bo noli me tangere
bo jestem bardzo zmęczony, nieopisanie wycieńczony
bo już wycierpiałem
bo już zostałem, choć to się działo w obłądziej, najdosłowniej i najcieleśniej
ukrzyżowany i jakże bardzo i realnie mnie to bolało
bo chciałem zbawić od wszelkiego złego ludzi wszystkich i świat cały i jeżeli się
tak nie stało, to winy mojej w tym nie umiem znaleźć
bo wygląda, że już nic tu po mnie
bo nie czuję się oszukany, co by mi pozwoliło raczej trwać niż umierać; trwać i szukać
winnego, może w sobie; ale nie czuję się oszukany
bo kto może trwać w tym świecie – niechaj trwa i ja mu życzę zdrowia, a kiedy
przyjdzie mu umierać – niechaj śmierć ma lekką

bo co do mnie, to idę do ciebie Ojciec pastewny, żeby może wreszcie
znaleźć uspokojenie, zasłużone jak mniemam, zasłużone jak mniemam,
bo nawet obłąd nie został mi zaoszczędzony
bo wszystko mnie boli straszliwie
[tekst nieczytelny]
bo duszę się w tej klatce
bo samotna jest dusza moja aż do śmierci
bo kończy się w porę ostatni papier i już tylko krok i niech Żyję Życie
bo stanąłem na początku, bo pociągnął mnie Ojciec i stanę na końcu
i nie skosztuję śmierci

Ostatnie pięć wersów napisanych jest bardzo nieczytelnym pismem. Takie zachwianie czytelności pisma, aż po kształty zupełnie nie do odgadnięcia, jest charakterystyczne dla stanu prawie całkowitej utraty świadomości. Stachura pisał je więc w ostatnim momencie swojego życia. Dosłownie w ostatnim. Kilka sekund później już nie żył. Sam na sam ze sobą; ze swoim wnętrzem, które go zabiło.

List do Pozostałych jest swoistym rozliczeniem się ze światem, ze schematem, którego Stachura tak nienawidził. Początkowe wersy – opis stanu świadomości: za winy..., za brak..., za brak..., ale także za możliwość... Za możliwość zjedno-

czenia się z Bogiem. Z Absolutem, który nie zajmuje szczególnego miejsca w twórczości poety. Nie mówi o Nim otwarcie, nie zwraca się do Niego w chwilach kryzysu, skąd więc w ostatnim tekście nagła obecność Boga? Nazwanie go *Ojcem pastewnym* w końcowej części sprawia wrażenie bliskości, ciągłego kontaktu. Być może było to spowodowane lękiem przed śmiercią, niepewnością własnej decyzji, ręką wyciągniętą po wybaczenie. Wiadomo przecież, że samobójcy nie idą do Raju. Stachura jest jednak pewny swoich więzów z Bogiem:

bo stanąłem na początku, bo pociągnął mnie Ojciec i stanę na końcu i nie skosztuję śmierci

Nie skosztuję śmierci. Ostatnie słowa świadczą o całkowitej pewności zwycięstwa w boju, który toczył całe życie. Skąd ta pewność? Być może był pewny właściwego wyboru, właściwego momentu, kiedy to, jak pisał w *Calej jaskrawości*, trzeba: Wypalić się do końca, do spodu, żeby śmierci, tej zwyczajnej wariacie, nic nie pozostawić w spadku, niech odziedziczy po nas popiół wygasły i niech go sobie rozdmucha, jeśli chce, na siedem stron i niech ma przy tym iluzję, że nie jest bezrobotna. Tak. Na pewno. Na pewno tak można się uratować. Oddać życiu wszystko. Bez reszty.

W chwili podjęcia decyzji o samobójstwie czuł się całkowicie wypalony, dusił się, czuł, że zrealizował to, co chciał i nic mu już na tym świecie (którego tak nienawidził, od którego tak długo uciekał) nie pozostało do zrobienia, nic, co trzymałoby go jeszcze przy życiu, dało się.

bo jestem bardzo zmęczony, nieopisanie wycieńczony
bo już wycierpiałem
(...)
bo wygląda, że już nic tu po mnie
bo nie czuję się oszukany, co by mi pozwoliło raczej trwać niż umierać; trwać i szukać winnego, może w sobie; ale nie czuję się oszukany

Stachura w pewien sposób czuł się wybawicielem ludzkości. W jego utworach, także w *Liście do Pozostałych*, odnajdujemy stwierdzenia niemalże mesjanistyczne:

za nieszczęście ludzi i moje własne, które dźwigam na sobie i w sobie.

Poeta czuł się w jakimś stopniu odpowiedzialny za drugiego człowieka. Ślady tego odnajdujemy już w początkach jego twórczości. Dlaczego Stachura zaczął pisać? Ponieważ w szkole kolega, który pisał wiersze, był piętnowany i wyśmiewany przez resztę. Sted postanowił wziąć na siebie jego ból. (Owemu koledze, jak i całej ówczesnej klasie, ludzkość powinna podziękować za stworzenie tak wspaniałego człowieka-poety).

List do Pozostałych jest swoistym rozliczeniem ze światem. Poszczególne akapity można by po kolei odnieść do konkretnych zdarzeń, stanów psychicznych poety (można to zresztą zrobić niemal z każdym jego utworem – to jest właśnie życiopisanie, nierozdzielalne więź między twórcą a dziełem). Utwór ten można zamknąć w jednym słowie: przepraszam. Przepraszam, że żyłem, że tworzyłem, za zło, za dobro, za oddech... przepraszam za to, że byłem – mógłby po prostu powiedzieć. Właściwie mógł nic nie pisać, zabić się, nie pozostawiając po sobie nic więcej ponad to, co już stworzył. Wtedy jednak nie byłoby to „stachurowe”. Musiał pozostawić po sobie ślad, ostatnie słowo musiało należeć do niego. W ten właśnie sposób przezwyciężył śmierć. Nie każdy poeta w ostatnich chwilach swojego życia potrafi utrzymać w dłoni pióro i zapisać ostatnie myśli. Sted tego

dokonał. Zapisał ostatni wiersz, kto wie, czy nie najpiękniejszy, kwintesencję swojego życia i swojej poezji. Utwór będący swoistym pożegnaniem, przestrogą dla pozostających. Trzeba prześledzić całą jego życiową wędrówkę, by zobaczyć, czy musiał dojść do tych słów zapisanych na ostatku i zaadresowanych do pozostałych, czyli do pozostających, którym zresztą dobrze życzył, a więc wierzył, że mogła ich ominąć absurdalizacja, która jego dotknęła. Dopuszczał taką możliwość, że tylko on zblądził, a inni (dzięki niemu) mogą uniknąć jego błędzenia⁸.

Kiedy umiera ktoś bliski, zadajemy sobie pytanie: dlaczego? Dlaczego umarł Stachura? Bo żył. W tym przypadku odpowiedź zdaje się być tylko jedna. Umarł za życie, za swoje życiopisanie:

za nowy dzień
za cudne manowce
za widoki nad widoki
za zjawę realną
za kropkę nad ypsylonem

Nadal pozostaje nierozstrzygnięta kwestia ostatnich pięciu wersów. Nie będąc pewnym ich pochodzenia, trudno je w jakikolwiek sposób interpretować. Można pokusić się tu jedynie o niewielką refleksję. Stachura umierając, mógł osiągnąć pewien stopień świadomości, nieosiągalny dla żyjących. Być może poznał tajemnice bytu, odwieczną tajemnicę ludzkiej egzystencji. Może zrozumiał, ale nie zdążył w pełni tego przekazać. Pozostawił jedynie ślad: **Lao-tse, Buddę i Jezusa** – z których czerpał inspirację.

Na koniec można się pokusić o stwierdzenie, że Stachura nie sprostał zadaniu, jakie sam sobie wyznaczył – nie zwyciężył śmierci. Nie zwyciężył jej w sensie fizycznym. Wydaje się jednak, że nie o takie zwycięstwo chodziło poecie. Osiągnął nieśmiertelną śmierć, do której dążył nieustannie przez całe życie. Z pewnością jego twórczość, jego duch przewyciężyły ostateczność. Bo przecież istnieją do tej pory „wyznawcy” życiowej filozofii Stachury⁹, afirmacji człowieka, natury, całkowicie dyskredytujący bezsens cywilizacji.

Marta Skrzypczak I. 20
POD WIATR nr 4/2005

¹ Zob.: M. Buchowski, *Stachura. Biografia i legenda*, Opole 1992; s. 7–9.

² B. Gładych, *Odklamany człowiek*, „Poezja” 1982; nr 9; s. 83.

³ Henryk Berezka nazywa to „zyciopisanie”. Zob.: H. Berezka, *Zyciopisanie*, w: E. Stachura, *Poezja i proza*, Warszawa 1987, t. 5.

⁴ W. Augustyn, *Cała jaskrawość życia i śmierci*, „Twórczość” 1972; nr 10; s. 86.

⁵ B. Gładych, dz. cyt., s. 79.

⁶ Z. Trziszka, *Edwarda Stachury zmagania z samym sobą*, „Miesięcznik Literacki” 1983; nr 7; s. 33.

⁷ Za: M. Buchowski, dz. cyt., s. 91–92

⁸ Z. Trziszka, dz. cyt., s. 31.

⁹ „Guru – Stachuru” jak to określił Ziemowit Feddecki we wstępie do rozdziału poświęconego Stedowi, w książce *Kaskaderzy Literatury*. Zob.: *Kaskaderzy literatury. O twórczości i legendzie Andrzeja Bursy, Marka Hłaski, Haliny Poświatowskiej, Edwarda Stachury, Ryszarda Miłczewskiego-Bruna, Rafała Wojaczka*, red. E. Kolbus, Łódź 1986.



17 gram miłości dla...

...Babci i Dziadka

20 stycznia 2015 roku rozstrzygnięto III edycję **Wojewódzkiego Konkursu 17 gram miłości „Babcia, Dziadku...”**, organizowanego przez Pałac Młodzieży w Bydgoszczy pod honorowym patronatem „Pod Wiatr.pl”.

Celem naszego konkursu jest zapewnienie możliwości odniesienia sukcesu dzieciom i młodzieży ze specyficznymi trudnościami w nauce czytania i pisanie. Prowadząc zajęcia terapeutyczne dla dzieci z dysleksją, zauważyłam ich olbrzymią wrażliwość i potencjał twórczy, który często nie jest ujawniony z obawy przed popełnieniem błędów ortograficznych. A potrzeba wyrażania siebie poprzez własną twórczość literacką kończy się w przysłowiowej szufladzie.

Tegoroczny **Konkurs „17 gram miłości”** został zadedykowany najważniejszemu po rodzicach dla wielu z nas osobom. Bez Babci i Dziadka nie mielibyśmy beztroskiego dzieciństwa i cudownych wspomnień z nim związanych. To Babcie dbają o kultywowanie tradycji rodzinnych, o rytuały codziennego życia. Dbają o nas i naszych najbliższych, często są spoiwem i podporą rodziny. Dzięki naszym Dziadkom wiele trudnych spraw, z pozoru niemożliwych do rozwiązania, staje się błahymi. Często nasi Dziadkowie to najlepsi nasi przyjaciele i powiernicy.

Babcie i Dziadkowie... To oni przekazują nam swoją miłość i mądrość życiową, kształtują nas, wpływają na to, jakimi będziemy ludźmi w przyszłości. To oni uczą nas wielu umiejętności: Babcie haftowania, szycia, a nawet gotowania. Dziadkowie wyjaśniają nam, jak działa samochód, jak wbić gwóźdź, zachowując przy tym wszystkie palce, ukazują tajemny świat przyrody.

Uczestnicy Konkursu dziękowali adresatom swoich zwierzeń za miłość, wspólnie spędzony czas oraz otrzymaną mądrość życiową. W różnej konwencji pisarskiej wypowiedzieli słowa i myśli, które noszą i nosić będą w sercach i dożgonnej pamięci.

Korzystając z gościnnych łamów „Pod Wiatr.pl”, prezentujemy prace Weroniki Poświaty i Bartłomieja Lange, które otrzymały w Konkursie równorzędne II nagrody (I nie przyznano) oraz Patrycji Kruczkowskiej i Anny Derengowskiej – nagrodzone równorzędną III nagrodą.

Anna Baczyńska-Serocka
organizator Konkursu

Weronika Poświata I. 13

* * *

Babcia i Dziadek
Wspólnie gotują obiadek.
Babcia krząta się wesolo,
Dziadek ociera spocone czoło.

W garnku wrze już zupka pyszna,
Choć Dziadka złapała zadyszka.
Należę ci zupki kochaneczku,
Zjemy sobie po troszeczku.

Na to Dziadek uśmiechnięty
Zrobił Babci herbatkę z miętą.
Posileni, pożywieni,
Do roboty się zawzięli.

Szybko, zgrabnie i powabnie,
Schab zrobiony, że aż pachnie.
A do schabu ówki z chrzanem,
I ziemniaki podukane.

Już w pobliżu jest rodzina,
Która właśnie wraca z kina.
Wygodniała sobie idzie,
A tu zapach w nos ich gryzie.

Dziadek z Babcią w okno patrzą
I na stół zastawę kładą.
Obiad szybko już zjedzony,
Więc siadamy do rozmowy.

Bardzo lubię te obiady,
Kiedy je gotują Dziadki.
Tyle smakołyków, tyle dań,
A ja dla nich tylko serduszko mam.



Bartłomiej Lange I. 15

* * *

Droga Babciu i drogi Dziadku, czterdzieści pięć lat temu stanęliśmy naprzeciw siebie, przekazaliśmy sobie miłość. Cudowne mieliście życie, czasami były upadki, ale szybko podnosiliście się. Jesteście dla siebie stworzeni, swoje siedemnaście gram miłości przekazaliście dalej. Jestem bardzo wdzięczny za to, że to wy pokazaliście mi drogę pełną miłości i zrozumienia. Nauczycie mnie, jak kochać. Dziękuję Wam za to.



Droga Babciu!

Piszę do Ciebie list i mam nadzieję, że dotrze, chociaż nigdy jeszcze takiego listu nie pisałam. Pewnie wiesz, co u nas, bo patrzysz na mnie i na moją rodzinę z góry. Można by powiedzieć: „stara bieda”. Czasem nawet Ci zazdrościsz. Dlaczego? O tym opowiem w dalszej części listu.

Pamiętam Cię. Kiedy miałam siedem lat, był taki dzień, że wszyscy już wiedzieli, prócz mnie, a ja dowiedziałam się dzień później.

Pamiętam Cię, jak razem rano wstawaliśmy, jak się mną zajmowałaś, jak razem obierałyśmy ziemniaki na obiad... Pamiętam, jak nauczyłaś mnie modlić się. Ilekroć przychodzę na Twój grób w niedzielę i w dzień powszedni, to właśnie odmawiam modlitwę, której mnie nauczyłaś. Zapomniałam tylko wyglądu Twojej twarzy.

Przez te siedem spędzonych wspólnie lat nauczyłaś mnie, czym jest dla nas wszystkich miłość, która spletała naszą rodzinę przez wiele lat. Teraz, kiedy Ciebie już nie ma, wszystko się skomplikowało i zepsuło. Nasza cała rodzina nie dość, że się rozdzieliła, to jeszcze tęskni za Tobą.

Przez siedem lat dałaś mi tyle miłości i ciepłości, że Dziadek nie jest w stanie Ci dorównać, a nawet nie umie tego zrozumieć. On żyje swoją daleką przeszłością. Wciąż opowiada, jak to było podczas wojny, jak się wtedy życie toczyło. Nie wspomina tego, co miało miejsce dziesięć lat temu, ale pamięta o tym, żeby zawsze w ten dzień, w który zmarłaś, zamówić w kościele mszę św. na ranną godzinę.

Przez siedem lat dałaś mi siedemnaście gram miłości, które jak dotąd wystarczyły i mam nadzieję, że wystarczą na dalsze życie.

Bardzo mi Ciebie brakuje, ale zawsze będę Cię kochać.

Ania

Anna Derengowska I. 15

Drogi Dziadku...

Choć minęło już siedem lat, odkąd nie ma Ciebie wśród nas, to ciągle wydaje mi się, że Cię widzę, jakby to było wczoraj... Wchodzę do Twojego pokoju, oglądam zdjęcia, na których uśmiechamy się oboje. Wydaje mi się, że wyszedłeś tylko na chwilę, ale Ty już nie wrócisz, już nigdy nie usiądziesz obok mnie, nie opowiesz śmiesznej anegdoty i nie zaśpiewasz razem ze mną naszej ulubionej kolędy. Próbuję powstrzymać łzy, ale same spływają mi po policzkach. Pozostały mi tylko wspomnienia wspaniałych dziecięcych chwil, które spędziłam razem z Tobą. Teraz już dorosłam, a ze mną szereg problemów i spraw, z którymi chciałabym się z Tobą podzielić.

Wiem, że na pewno dałbyś mi parę oryginalnych rad, ale wierzę, że patrząc na mnie z góry, wspierasz mnie duchowo i dodajesz mi sił. W trudnych chwilach, kiedy jest mi bardzo źle, wyczuwam Twoją obecność. Mam wrażenie, jakbyś był blisko mnie i dlatego czuję się silna, mam to po Tobie. Pamiętam Ciebie jako silnego człowieka, który pomagał wszystkim wokół. Staram się nie płakać, pisząc kolejne słowa, ale to nie takie proste, zwłaszcza że się święta, podczas których znowu zabraknie Ciebie przy stole.

Kocham Cię Dziadku i zawsze będę ciepło wspominać. Zapamiętam wszystkie rodzinne spotkania spędzone z Tobą, Twoją łagodną i dobrą twarzą. Zachowam fotografie, na których jesteście razem. Opowiem kiedyś swoim dzieciom i wnukom, jak wspaniałego miałam Dziadka.

Dziękuję Ci za to, że byłeś.

Twoja wnuczka

Patrycja

Patrycja Kruczkowska I. 19

21 lat POD WIATR – wspomnienia podróżnicze

W cieniu sombrero

Meksyk, kraj o różnorodnej kulturze i urozmaiconych krajobrazach, zachwyca zabytkami, dźwiękami, smakami i zapachami. W żadnym innym miejscu obu Ameryk historia i magiczne obrzędy nie splatają się tak mocno z szarzyną współczesnej codzienności. To chyba jedyne miejsce na Ziemi, gdzie spotykają się ze sobą tak zwany pierwszy i trzeci świat.

Jest krajem gęsto zaludnionym. Na 100 milionów mieszkańców jedna piąta żyje w Dolinie Meksyku, leżącej na wysokości około 2100 m n.p.m. Na tym obszarze dominuje miasto Meksyk, rozległa stolica kraju i jedno z największych miast na świecie. Pełne uroku, dobrze zachowane miasta z czasów kolonialnych są charakterystyczne dla stanów położonych na północ od miasta Meksyk, jak się później okazało – mojego przyszłego celu podróży. Skąpane w słońcu brzegi oceanu i lasy równikowe sąsiadują z porośniętymi kaktusami płaskowyzami oraz pokrytymi śniegiem wulkanami. Indiańskie wioski, gwarne miasta i ekskluzywne kurorty... To wszystko było przede mną...

1 sierpnia 2000 roku. Przed chwilą samolot linii lotniczych „Eir Transat” z dwugodzinnym opóźnieniem wylądował na małym lotnisku, w oko-

licach miejscowości o tajemniczej nazwie – **Puerto Vallarta**. Uprzejmie i zawsze uśmiechnięte stewardesy pomagają pasażerom i kierują wszystkich do wyjścia. Zgodnie ze wskazówkami, wychodzę na mały pomost, podjeżdżają schody.

Jestem w Meksyku...

Przedemną, w oddali rozciąga się wielkie pasmo górskie Sierra Madre, natomiast po drugiej stronie wynurza się piękny, długi brzeg turkusowego Pacyfiku. Wszędzie palmy kokosowe i bananowce. Upał, twarz smaga suchy wiatr, czuję słodki zapach kokosu i egzotycznych przypraw. Zachwyt zapiera dech w piersiach... Tego widoku, ułtucia w sercu, fascynacji nie zapomnę do końca życia. Tak właśnie przywitałam się z Meksykiem. Jeszcze tylko bagaże, kontrola paszportów i w drogę!

Z lotniska do najbliższego miasta jest około 20 kilometrów. W autokarze śmiechy, gwar i śpiew. Turyści (głównie Kanadyjczycy i Amerykanie) nieustannie szukają w swoich przeogromnych bagażach komórek, aparatów fotograficznych i kamer.

Puerto Vallarta. Dojeżdżamy do przepięknego kompleksu hotelowego „Royal Decameron” nad samym oceanem. Obsługa wita nas radosnym *Hola!* i zaprasza na orzeźwiającego drinka. Nie zapominajmy, że to kraj tequili! Hotel „boski”; pięć basenów, korty tenisowe, pole golfowe oraz jazda konna. Po drodze, przy plaży bary w kształcie słomkowego patio i osiem restauracji: japońska, włoska, grecka; do wyboru, do koloru. Plaża, ocean i słońce. Istny raj na ziemi!

Samo Puerto Vallarta przyciąga turystów jak magnes. W latach sześćdziesiątych uroki tropikalnego raju nad zatoką Banderas odkryły gwiazdy Hollywood. Od tamtej pory Puerto Vallarta stało się jednym z głównych meksykańskich kurortów nad Pacyfikiem. Co roku około półtora miliona turystów przybywa tutaj, by rozkoszować się pięknymi plażami, przyjemną o każdej porze

roku pogodą, sportami wodnymi i nocnym życiem. Jednak obsługa hotelowa odradza „wypadki” do miasta po północy. Nocą jest niebezpiecznie, można zostać napadniętym i okradzionym. Zdarza się i tak, że nocną eskapadę można przypłacić życiem (największym interesem i zyskiem dla terrorystów są obecnie narkotyki oraz sprzedaż i wymiana ludzkich organów).

Podczas penetrowania tego nadmorskiego kurortu wybieram się do najstarszej dzielnicy – Viejo Vallarta. Zachowała ona pewne cechy typowej meksykańskiej osady, gdzie domy są kryte dachówką i pobielane wapnem, a brukowane uliczki wiodą w kierunku porośniętych lasami gór.

Na Isla Rio Cuale, małej wyspie na rzece przecinającej miasto, usytuowany jest prześliczny ogród botaniczny z wieloma kafejkami. Natomiast przy *malecón*, nadbrzeżnym deptaku, można wynająć wodną taksówkę, dowożącą do innych części zatoki, m.in. największej w Meksyku mariny. Na ulicach łatwo można wyczuć ciężki zapach tequili – najsłynniejszego alkoholu Meksyku. Miasto otaczają plantacje *Agave tequilana*, z której rdzenia, czyli *piñas*, od XVI wieku produkuje się cenny trunk.

Dla wielu turystów najciekawszą częścią pobytu w Meksyku są zakupy. Niektórzy lubią eleganckie i drogie butiki lub stoiska jubilerów. Inni wolą gwar barwnych targów ulicznych z piramidami egzotycznych owoców i warzyw albo przydrożne kramy pełne pięknej ceramiki bądź wyrobów tkackich w jaskrawych kolorach. Osobiście wolę to drugie.

Udaję się na wielki targ. Samochody jadą pod prąd i na czerwonym świetle, za nimi ludzie. Do tego przechadzający się po mieście policjanci w kulooodpornych kamizelkach, wyposażeni w pokaźne automatyczne karabiny, ale oczywiście „od ucha do ucha” uśmiechnięci, szczególnie do młodych dziewczyn (sprawdzone!).

Targowisko, trochę lumpiarskie, ale malownicze. Oglądam kolejne stoiska i, o dziwo, na każdym jest to samo. Ceny wygórowane, ale można, a wręcz trzeba, się targować. Chcąc zapłacić mniej, wystarczy zapytać: *cuanto es lo mentos?* (na jaką obniżkę ceny mogę liczyć?). Bez targowania nie ma żadnego zakupu. Wszędzie mnóstwo koralików, naszyjników, kapeluszy i sukienek z wielkim napisem „Mexico, Puerto Vallarta ‘2000”. Poniżej różowy rekin machający płetwą, ale kicz! Odnoszę wrażenie, że Meksykanie głównie handlują, jedzą i strasznie wrzeszczą... Robi się późno. Pora wrócić taksówką do hotelu, (autobusy są zbyt niebezpieczne, szczególnie dla kobiet) i odpocząć!



Wyjeżdżamy za miasto. Na horyzoncie pojawiają się małe wioski. Wszędzie brud, bieda, dzieci bawią się w rowach razem z bydłem. Tradycyjne spojrzenie Meksykanów na świat można przedstawić za pomocą kręgów. Pierwszy i najważniejszy krąg to rodzina, której sercem jest matka. Dzień Matki to najistotniejsza data w meksykańskim kalendarzu. Poza rodziną tradycyjnie najbliższy krąg przyjaciół stanowią **compadres** (rodzice chrzestni) albo po prostu **couates** (kumple).

Po całym dniu zwiedzania wybieram się na organizowany w hotelu *show* meksykański lub latynoski z prawdziwą muzyką i tańcami. Meksyk słusznie jest dumny ze swej sztuki ludowej, która jest o wiele ciekawsza niż sztuka profesjonalna. Muzyka **marachi** zdobyła sobie słuchaczy nawet w Japonii! Nazwa pochodzi od francuskiego słowa **mariage** – ślub, wesele. *Mariachi* narodziła się w stanie Jalisco w XIX wieku, kiedy to muzycy grali właśnie na weselach i przyjęciach. Dzisiejsi muzycy często są najmowani przez kawalerów starających się o rękę wybranki, aby pod jej domem grali serenady. Też bym tak chciała!

Warto wspomnieć o bogach dawnego Meksyku. Cywilizacje starożytnej Mezoameryki oddawały cześć ogromnemu panteonowi bogów. Niektórzy z nich byli związani z ciałami niebieskimi, takimi jak: gwiazdy, Słońce i Księżyc, inni mieli związek z kalendarzem. Byli też bogowie, którzy sprawowali władzę nad stworzeniem czy śmiercią. Bogów

czczono, ale budzili również strach. Wierzono, że jeżeli stworzyli świat i kierowali jego losami, to mogli go równie łatwo zniszczyć. Spotykane było również składanie ofiar z ludzi! Tak więc istnieli bogowie deszczu, stwórcy, świata podziemnego czy też najsłynniejszy bóg, zwany przez Majów – Kukuycan, występujący pod postacią pierzastego węża, czyli połączenia ptaka z grzechotnikiem. Coś okropnego.

Tak się rozpisuję, a minęły już cztery dni mojego pobytu, przygody – marzenia. Jest szósta rano, siedzę na plaży, pod ogromną palmą i oglądam to niezwykle zjawisko, jakim jest wschód słońca. Ukazuje nam swoje najpiękniejsze walory i barwę. Przypomina o budzącym się nowym dniu, a wraz z nim odradzającej się nadziei. Właśnie wypisuję kartki do rodziny i znajomych, będzie o czym dyskutować po powrocie. Żałuję, że nie ma ich tutaj razem za mną, ale może jeszcze kiedyś, w przyszłości...

Codziennie notuję wszystko w pamiętniku, który – jak miemam, będzie lekarstwem na jesienno-zimową chandrę. Aha! Zapomniałabym napisać, jakie pyszne są **burritos** – cienkie ciasto zapiekane z wołowiną, papryką i innymi przyprawami. Kuchnia meksykańska jest wyśmienita. Warto też skosztować **tortille** – płaski placek kukurydziany z **salsą** – sosem nadającym potrawom charakterystyczny smak i aromat ziół.

Nauczyłam się także nurkować, surfować, pływać na skuterze wodnym i katamaranie. Można byłoby kupić

takie „cacko”, ale gdzie pływać? Po Bałtyku? Chyba za bardzo się rozmarzyłam. Muszę zejść na ziemię, bo niedługo czar pryśnie i powrócę do szarej rzeczywistości. Pozostanie jedynie brązowa opalenizna i wspomnienia.

Minęło dziesięć dni. Przynębiona jadę na lotnisko, w autokarze cisza. Wszyscy pasażerowie ostatni raz próbują zapamiętać Meksyk. Na pożegnanie otrzymujemy miniaturowy **sombrero** – kapelusiki wyszywane kolorowymi cekinami. Wchodzimy na pokład samolotu. Każdy mruczy pod nosem żalosne „hallo” do reklamowego uśmiechu stewardes. Ostatni raz odwracam się, zerkam do malutkiego okienka, wzdycham i w myślach powtarzam „Do zobaczenia... kiedyś. Och! Meksyk... mój MEKSYK...”.

Ważnym elementem jest wspomnienie... kiedyś. Och! Meksyk... mój MEKSYK...”.

Tak naprawdę dzisiaj mamy grudzień. Za oknami deszcz i wichura. Siedzę wygodnie w fotelu z kubkiem gorącej czekolady i oglądam zdjęcia z minionych wakacji. Czytam notatki z pamiętnika. O! Widać jeszcze drobinę złocistego piasku... Przecież pisałam to na plaży, o wschodzie słońca. I wcale nie złapała mnie jesienno-zimowa chandra, to coś wyższego przyciąga mnie co tydzień do tych zdjęć. To fascynacja tym egzotycznym krajem. Właśnie zauważyłam wilgotną strużkę na moim policzku. Czy to łza? Nie, to ostatnie już wspomnienie...

Natalia Grajewska I. 17
POD WIATR nr 12/2000



Puerto Vallarta (w tle autorka reportażu).

Przygoda z radiem

XXIII Międzyszkolne Regionalne Warsztaty Dziennikarskie organizowane przez Młodzieżowy Dom Kultury nr 4 w Bydgoszczy przekroczyły półmetek. 70 pasjonatów mediów: uczniów szkół podstawowych, gimnazjów i szkół ponadgimnazjalnych z Bydgoszczy i regionu, zakończyło etap „prasowy”.

Żacy dziennikarstwa przez cztery miesiące poznawali m.in. teoretycznie i praktycznie poetykę podstawowym gatunków dziennikarskich, doskonalili umiejętność pisania i sprawność mówienia, uczyli się analizować słowa i zdania, poznawali zasady konstruowania wiadomości prasowej oraz sztuki pisania komentarza i przeprowadzania wywiadu. Rozglądając się pilnie w poszukiwaniu źródeł reporterskich inspiracji, poznawali samych siebie. Kilkoro stało się

autorami czasopisma młodzieżowego Pod Wiatr.pl i na jego łamach ze swoją twórczością dotarło do Polonii w stu krajach świata.

Teraz kolej na dwumiesięczne poznawanie abecadła dziennikarstwa

radiowego. Po feriiach zimowych **Rozgłośnia Polskiego Radia Pomorza i Kujaw** po raz dwudziesty trzeci odsłoniła przed uczestnikami Warsztatów tajniki pracy reportera i realizatora radiowego. W studiach Rozgłośni poddani zostaną próbom głosowym, poznają: podstawy akustyki pomieszczeń, techniki mikrofonowej, obsługi sprzętu reporterskiego oraz montażu, system

redagowania serwisów informacyjnych oraz sposoby wykorzystania zasobów fonoteki muzycznej.

Współpraca bydgoskiej Rozgłośni z Warsztatami kierowanymi od 23 lat przez Mirosława Twarogę – ich pomysłodawcę i autora koncepcji programowej – umożliwiła poznanie radia 1946 uczennicom i uczniom z ponad 250 szkół Bydgoszczy oraz Kujaw i Pomorza, a także Wielkopolski, co jest bez wątpienia ewenementem edukacyjno-medialnym w skali kraju.

Warto wspomnieć, iż Międzyszkolne Regionalne Warsztaty Dziennikarskie, które o dziesięć lat wyprzedziły wprowadzenie do szkół edukacji medialnej, są atrakcyjną, bezpłatną alternatywą spędzania wolnego czasu dla uczniów o uzdolnieniach dziennikarskich i humanistycznych. Stanowią rodzaj preorientacji zawodowej wspomagającej decyzje o wyborze szkoły, profilu kształcenia, ułatwiają wybór studiów i ewentualnie przyszłej pracy zawodowej.



rys. Marta Jagiello (archiwum)

Mali strażnicy bezpieczeństwa świata

– Ja najbardziej lubię drzewa.
– Dlaczego?
– Bo produkują tlen, a ludzie przecież potrzebują go do życia – mądrze odpowiada mały przyrodnik.
– A ja dżdżownice – wyrwa się dziewczynka – bo spulchniają ziemię!

Siedzę na dywanie z najstarszą grupą **Przedszkola Miejskiego nr 6 im. Wandy Chotomskiej w Toruniu**. Dopiero zaczęły zabawę, kiedy przeszła im „dziennikarka”. Mimo to, siadają w kółku, otwierają szeroko oczy i uszy – już gotowi na nowe wyzwania.

O ekologii? Wiedzą wszystko. Uczą mnie, czym karmić ptaki i jak sobie radzić ze śmieciami. Nie pozwalają zabijać pająków ani łamać gałęzi. Opowiadają, jak prowadzą własną hodowlę warzyw i dbają o roślinki. Na koniec recytują wierszyki i śpiewają piosenkę o ochronie środowiska. Mogę spokojnie powiedzieć: rosną nam świadomi ekolodzy.

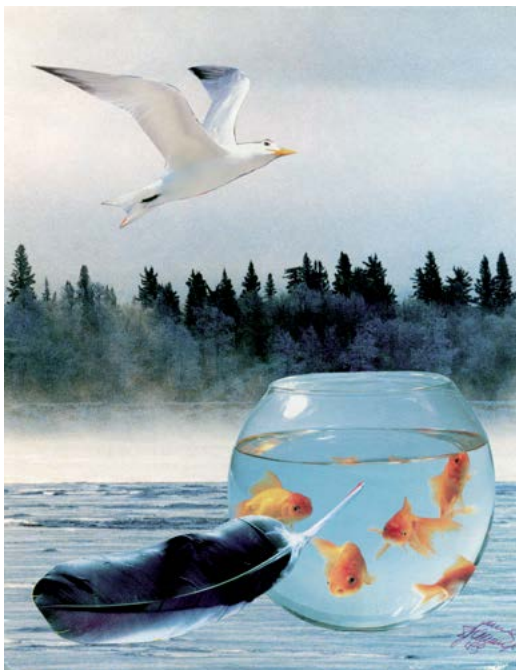
Miejskie Przedszkole nr 6 to miejsce wyjątkowe. Zanim ja zaczęłam to odkrywać, dowiedział się już o tym pan Prezydent Bronisław Komorowski, patronując tytułowi Laureata w XIII edycji Narodowego Konkursu Ekologicznego „Przyjaźni Środowisku” w kategorii „Promotor ekologii”. Takie wyróżnienie podsumowało dekadę czynnej działalności przedszkola i rozpoczęło kolejną.

Tutaj nie poprzestaje się na samym mówieniu. Każdy wie, że zadaniem ekologa jest przede wszystkim ratowanie świata. Jeszcze nie było takiego, który zrobiłby to samodzielnie. – Staraliśmy się chociaż pokazać dzieciom, jak dbać o zdrowie i własne otoczenie – mówi dyrektor przedszkola, pani **Dorota Pesta**. Ekologia stała się tutaj codziennością. Dzieci po zajęciach plastycznych pamiętają, żeby wrzucać papier do specjalnych pojemników. Zużyte baterie też mają tu swoje specjalne miejsce, skąd potem wędrują do utylizacji. Przedszkolaki uczą się matematyki na szyszkach, patykach i kasztanach, które same zbierają podczas edukacyjnych spacerów. Ci mali wędrowcy systematycznie odwiedzają Ogród Zoobotaniczny, żeby zanieść karmę dla jego mieszkańców.

Podczas naszej rozmowy od razu wynikło, że to prawdziwi miłośnicy zwierząt. Taką samą atencją obdarzają dzięcioły (lekarze drzew), dziki jak i ślimaki. Dlatego przedszkole zostało wirtualnym opiekunem psa Teddiego z Przymuliska w Głównie w ramach adopcji „na odległość”. Dzieci przynoszą codziennie symboliczną złotówkę, żeby przekazać pupilowi trochę miłości. Dzięki temu w akcje ekologiczne angażowani są również rodzice. Razem z dziećmi mogą brać udział w konkursach: wiedzy pt. „Dbamy o naszą planetę”, plastycznym – na marzanne wykonane z surowców wtórnych lub na najpiękniejszy album liści jesiennych. To powoduje, że o ekologii mówi się także w domu. A zimą? Kiedy w kąciakach przyrodniczych (obecnych w każdej sali) żadne uprawy nie mają sensu, dzieci korzystają z „minilaboratoriów”, żeby zbadać na przykład wątpliwą czystość śniegu.

* * *

Przedszkole żyje zgodnie z kalendarzem ekologicznym. Zawsze jest to dobra okazja do po-



collage Anna Jaracz I. 18 (archiwum)

wtórki zasad ochrony środowiska. Gdy nadejdzie 22 kwietnia, obowiązuje hasło: Światowy Dzień Ziemi. Z tej okazji przedszkole organizuje barwy korowód ulicami osiedla z hasłami proekologicznymi. Do tego dzieci prezentują utrzymane w tematyce spektakle i piosenki, żeby uczyć się, bawiąc razem z zaproszonymi przedszkolakami z innych placówek. Kiedy indziej organizowany jest Dzień Profilaktyki Zdrowotnej. Do badań i szczepień ochronnych przekonują wtedy zarówno dzieci, jak i rodziców specjaliści: lekarz pediatra, stomatolog i higienistka. W Dniu bez Papierosa przedszkole zorganizowało kampanię antynikotynową pod nazwą „**Mamo, tato, nie pal!**”, udowadniając, że nigdy nie jest za wcześnie, by dowiedzieć się o niebezpieczeństwie płynącym z nalogów. Przedszkolaki z „szóstki” uczestniczą również w corocznej akcji Sprzątania Świata. Wtedy wraz z MPO (Miejskim Przedsiębiorstwem Oczyszczania) dają wzorowy przykład, jak dbać o czystość środowiska lokalnego.

* * *

Trudno być obojętnym wobec tak zaangażowanych obrońców przyrody, dlatego w edukowaniu wychowanków przedszkole jest wspierane przez wiele instytucji. Przykładowo, Powiatowa Stacja Sanitarno-Epidemiologiczna przygotowała program edukacyjny „**Czyste powietrze wokół nas**”. Dzięki temu przedszkolaki poznały wpływ dymu na stan środowiska i życie człowieka. Podczas wyjścia w teren obserwowały, jak chmury brudu unoszą się w powietrzu. Niektóre nie zdawały sobie dotychczas sprawy, że samochody, bez których pewnie nie wyobrażają sobie świata, szkodzą środowisku.

W poszerzaniu wiedzy z poszczególnych dziedzin ekologii pomagają wychowawczynie specjalistki. Biolog, leśnik czy chemik omawiają z dziećmi zagadnienia związane z jego wykształceniem i pracą. Bo co przemawia lepiej niż doświadczenie?

Przedszkole zna wartość wdzięczności, dlatego za pomoc i wsparcie wręcza specjalnie opracowaną i wykonaną przez jednego z rodziców drewnianą statuetkę „Przyjaciela ekologicznego przedszkola”. W 2011 roku otrzymał ją m.in. Marszałek Województwa Kujawsko-Pomorskiego – pan Piotr Cabcicki.

* * *

Jestem szczególnie zachwycona dwoma pomysłami przedszkola. Pierwszy z nich nazywany jest „**Targami Zdrowej Żywności**”. Polega na tym, że pewnego październikowego dnia na dzieci czeka w przedszkolu nietypowe zadanie. Mają czas do południa na przygotowanie potrawy ze zdrowej żywności. Żeby nie było nudno, celem jest stworzenie z surowców żywnościowych ciekawych kompozycji – rozmaitych zwierzątek, buziek i innych obrazków. Razem z wychowawczyniami malcy wykorzystują owoce, warzywa, nabiał i ciemne pieczywo do wykonania prostych przepisów kulinarnych, np. myszek z twarogu. O godzinie „zero” mali kucharze wystawiają swoje dzieła na prezentacji. Teraz ich zadaniem jest zachęcenie rodziców do degustacji. W ten sposób przedszkolaki odnajdują rozrywkę w zdrowym jedzeniu, którą rodzice mogą przenieść do domu, korzystając z otrzymanych instrukcji na samodzielne przygotowanie śmiesznych w kształcie, lecz zdrowych potraw.

Z drugiej inicjatywy „szóstka” słynie już wśród toruńskich przedszkoli. Mowa o „**Wesołym pałacyku**”. Już za parę miesięcy, kiedy przyroda wróci do życia, zachwycając wiosenną bujnością, odbędzie się IX edycja Międzyprzedszkolnego Przeglądu Piosenki o tematyce ekologicznej. Dziesięć pierwszych zgłoszeń kwalifikuje tyle samo pięciuosobowych zespołów trzy- i czterolatków z toruńskich przedszkoli miejskich i niepublicznych.

W dniu Przeglądu wszyscy uczestnicy zbierają się w pałacyku, żeby śpiewać o ekologii. Między występami wychowawczynie zadają dzieciom przyrodnicze zagadki. Ten, kto je rozwiąże, zapowiada występ kolejnego zespołu. O tym, że jest to prawdziwie ekologiczne święto, świadczy finał. Po występach czeka na dzieci zdrowy posiłek – świeże soki i jogurty, po czym każdy zespół otrzymuje nagrodę sponsorowaną przez Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Toruniu. A na koniec wszyscy składają uroczystą Przysięgę Ekologa.

* * *

Ekologia to teraz strażnik bezpieczeństwa świata. Niewielu lubi o tym słuchać. Niewielu rozumie, że czas wziąć sprawy w swoje ręce. Patrzą na nagłą potrzebę ochrony środowiska naturalnego przez przyzmat zakazów, blokad i protestów, kręcąc głową z niesmakiem. To nie musi tak wyglądać! Jeśli trafiłam na niedowiarków, to polecam im zainteresować się działaniami małych przyrodników z „szóstki”. Są szczerze i bynajmniej niebezsensowne. Dzieci mają po sześć lat – to ich pierwsze świadome spojrzenie na świat, pierwsze kroki ku przyszłości. Szczęśliwie stawiają je pod mądrym i opiekuńczym okiem wychowawczyń. Oby nikt nie zgasił ich entuzjazmu i zapału. Od tych dzieci – strażników przyrody – można się tylko uczyć.

Jagna Nawrocka I. 18



Pole rumiankowe.

Mikołaj Isajew I. 15



W zgodzie z przyrodą.

Katarzyna Charlamowa I. 11

Z Kurska

Ekologia – temat dla wszystkich

Bardzo spodobało mi się czasopismo „Pod Wiatr.pl.” Można w nim znaleźć dużo ciekawych i aktualnych artykułów. Czasopismo to jest interesujące dla czytelników w różnym wieku: młodzieży, dzieci, a nawet dla dorosłych. Na naszych zajęciach z języka polskiego omawialiśmy artykuł o ekologii pt. „Wszystkie kolory tęczy” ze świątecznego wydania czasopisma. To bardzo ważny artykuł, ponieważ ekologia, jak nigdy dotąd, jest aktualnym tematem dla nas wszystkich. Zachwycaliśmy się tymi młodymi dziewczynami, studentkami, które wnoszą swój wkład do poprawy ekologicznego wizerunku swego miasta i jego przyrodniczych walorów.

Nasza organizacja – Kurski Związek Polskiej Kultury – przyczyniła się do propagowania ekologii, organizując konkurs plastyczny pod tytułem „Ekoplakat”. Najlepsze prace zostały wysłane na międzynarodową wystawę ekoplakatów do Dzielnicowego Domu Kultury „Bronowice” w Lublinie. Nasz uczestnik – Mikołaj Isajew, zajął III miejsce, a Katarzyna Ławrienowa, Daria Murawiowa i Katarzyna Charlamowa otrzymały wyróżnienia.

Dziękujemy Wam za tak piękny artykuł o ekologii i w rewanżu przesyłamy nasze „Ekoplakaty” zauważone i docenione w Lublinie.

Olga Mitrofanowa

Kursk, Rosja, luty 2015 r.



Lubicie przyrodę...

Daria Murawiowa I. 6



Międzynarodowy wernisaż ekoplakatów w Lublinie. Wśród nich nasze prace.



Koło mojego domu.

Katarzyna Ławrienowa I. 6

Kuyavia and Pomerania



visitkujawsko-pomorskie.pl